

## Kelnereczka

Janusz Olezak

str. 6

## LUBELSKIE SKRZYPCE

Arkadiusz Kossowski

str. 8-9

LUBLIN

## AUTO-STOPEM NA WYSPE

Wiesław Horabik

str. 7



I JEGO MASKOTKA

str. 9

ROK ZAŁOŻENIA 1933

czas. 2552/1976/5

# WAMENIA

LUBLIN 7 III 1976 Nr 5 (595)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## Komu męża komu żonę?

Bożena Siedlecka

Od czasu, kiedy „naga małpa” przeistoczyła się w gatunek szumnie (i chyba na wyrost) nazywany później homo sapiens, jego przedstawiciele zrozumieli, że nadzedł czas, aby zmienić zasady życia w małpiej komunie. Już nie wystarczyło im bieganie parami po ziemskich chaszczach i jaskiniach. Zrozumieli, że „nie ważne czyje co je, ważne to je co je moje”. Niebawem skończyły się wspólne polowania i biesiady. Ludzie zapragnęli posiadać. Jednakże prawicze instynkty każały im dążyć do posiadania we dwoje i to było przyczyną powstania świętej instytucji małżeństwa.

NIĘ upraszczajmy problemu; niejednokrotnie młode osobniki wyrastały na ludzi wrażliwych i uczuciowych. Tacy nie oglądali się zbyt na dobro materialne, ale chcąc zaspokoić chęć posiadania, żądali od partnerów: subtelności, uczciwości, inteligencji, elegancji itp. Tak więc można podzielić przedstawicieli gatunku ludzkiego na trzy grupy. Pierwszą — pragną mieć pieniądze i majątek, drudzi — inteligencję i wrażliwą duszę, a ostatni — lubią po trosze i jedno i drugie. Lecz prawie wszyscy pragną mieć obok siebie kogoś, z kim mogliby wspólnie konsumować zarówno dobra materialne jak i duchowe.

Wbrew pozorom wcale nie tak wiele osób świadomie wybiera samotne życie. Człowiek jest stworzeniem towarzyskim i prawie zawsze chce mieć kogoś obok siebie. Kiedy nie może znaleźć partnera drogą osobistych kontaktów, wybiera zastępczą

formą poznania, jaką jest... ogłoszenie matrymonialne.

Spróbujmy zobaczyć, jacy jesteśmy. Co chcemy dać, a czego żądamy od poszukiwanego partnera.

Jest rzeczą charakterystyczną, że większość samotnych, poszukujących tą drogą towarzysza życia, to ludzie posiadający wyższe lub średnie wykształcenie: inżynierowie, lekarze, naukowcy, nauczyciele, technicy, prawnicy, ekonomiści itp. Rzadko trafiają się oferty rzemieślników, a prawie nie ma propozycji robotników i chłopów. Prawdopodobnie wykształcenie, które miało nobilitować i stworzyć większe możliwości wyboru partnera, stało się z różnych względów przeszkodą w zawarciu małżeństwa.

Dokończenie na str. 4-5

## 8 MARCA - ŚWIĘTO KOBIEC



Fot. J. Rudnicki

## TEN ROK

Maciej Podgórski

## I N A S T E P N E

NA pierwszy rzut oka dyrektor Marian Bilski, szef zakładów PREDOM-EDA w Poniatowej, nie przypomina krwistych, energicznych, grubokościstych menażerów o tubalnym głosie, żyjących pod groźbą zawału serca. W czyściutkim gabinecie wiemy dyskurs chłodny, niemal intelektualny, o sprawach ekonomicznych fabryki i w ogóle. Spokojnie, ale z żelazną konsekwencją dyrektor opowiada o nowych wskaźnikach i starych wskaźnikach, pokazuje wystawkę sprzętu produkowanego w zakładzie: sprężarki i agregaty do chłodnictwa domowego, napędy do pralek automatycznych, silniki do pralek wirnikowych, sokowirówki, nawilżacze powietrza, bezpieczniki automatyczne...

Czekam, aby podsunąć pierwszą kwestię, z którą do EDY przyjechałem:

— Istnieje teraz zdrowa tendencja, żeby ograniczać zatrudnienie, zwiększając zarazem wydajność pracy. Tymczasem EDA w roku ubiegłym miała wyższy niż średnia krajowa udział wzrostu zatrudnienia w produkcji sprzedanej, dlaczego?

— Zadania planowe roku 1975 przekroczyliśmy o ponad 40 milionów złotych. Udział wydajności pracy w produkcji sprzedanej wynosił 78 procent, zatrudnienia natomiast 22 procent. Wobec ogólnej średniej krajowej, 85,5 procent do 14,5, a szczególnie wobec średniej zjednoczenia PREDOM, są to z pozoru faktycznie niekorzystne relacje ekonomiczne.

— Z pozoru?

— Tak, albowiem w połowie ubiegłego roku uruchomiliśmy w zakładzie odlewnię żeliwa szarego, produkującą detale, które dotąd trzeba było sprowadzać ze strefy dolarowej. I teraz zależy, jak się na to patrzy. Jeśli wedle dawnych relatywnych wskaźników produkcji sprzedanej, to nowa odlewnia wpłynęła niekorzystnie na wzrost zatrudnienia. Jeśli natomiast wed-

Dokończenie na str. 3

# SZKOŁA KAJ-a

**W** NUMERZE 12 „Kamena” z ub. r. (15 czerwca) zamieściliśmy artykuł p.t. „Szkoła KAJ-a”. Pisaliśmy w nim o decyzji nazwania Zespołu Szkół Zawodowych nr 4 w Chełmie imieniem Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, który w latach międzywojennych i powojennych wykładał literaturę w murach Męskiego Seminarium Nauczycielskiego. Dziś w tych samych murach mieści się właśnie Zespół Szkół Zawodowych nr 4.

Uroczystość, połączona z wręczeniem młodzieży sztandaru, przeciągnęła się nieco — nie tyle w związku z reorganizacją podziału administracyjnego kraju, ile ze względów, nazwijmy je, technicznych. Haftowanie sztandaru znacznie się opóźniło. Poza tym dyrekcja szkoły — tak będziemy nazywać skrótowo Zespół Szkół — szukała odpowiedniego terminu, skoro termin zakończenia roku szkolnego stał się nieaktualny. Ostatecznie ustalono go na dzień 28 lutego 1976 roku, kiedy w Technikum Spożywczym wręczano świadectwa dojrzałości.

Władze wojewódzkie i miejskie Chełma, zarówno partyjne, jak i administracyjne, bardzo poważnie i serdecznie podeszły do inicjatywy dyrekcji szkoły. W skład Komitetu Honorowego weszli m. in.: Irena Kaczmarek, sekretarz KW PZPR, Tadeusz Sobolewski, wicewojewoda, Władysław Kruk, sekretarz KM, Bogdan Zalewski, sekretarz WK ZSL, Daniel Han, prezydent m. Chełma, Michał Petrykowski, kurator Oświaty i Wychowania. W Komitecie znalazła się też małżonka K. A. Jaworskiego, Tekla.

Po odsłonięciu tablicy pamiątkowej otwarcia uroczystości dokonał dyrektor szkoły, Longin Jan Okoń. On, jak i następny mówca, wicewojewoda Tadeusz Sobolewski, przypomnieli zasługi literackie i pedagogiczne K. A. Jaworskiego, a także omówili jego rolę w założeniu i wieloletnim redagowaniu „Kamena” — najpierw w Chełmie, a potem w Lublinie.

Syn nowego patrona szkoły, Marek Adam, dziękując władzom wojewódzkim i miejskim Chełma za akceptację inicjatywy dyrekcji, zwrócił uwagę na niezwykłą skromność, jaką zawsze cechowała jego ojca. „Pragnąłbym — oświadczył — abyście zawsze mówili, że uczyłem się po prostu w „szkole KAJ-a”. Takim skrótem podpisywał on wiele artykułów, tak nazywali go najbliżsi...”

Kurator Michał Petrykowski odczytał akt nadania szkole imienia K. A. Jaworskiego, a następnie dyr. Longin Jan Okoń przekazał w ręce młodzieży sztandar szkoły. Młodzież złożyła przysięgę, a w jej imieniu zabrała głos uczennica kl. I Technikum Spożywczego, Bożena Rybka, zapewniając, że uczennice i uczniowie dolożą starania w nauce i w pracy dla Polski Ludowej.

Część artystyczna — to montaż wierszy i przekładów K. A. Jaworskiego w wykonaniu zespołu recytatorskiego, przygotowanego przez polonistkę, Halinę Romanowicz.

Dyrekcja Wydawnictwa Lubelskiego przekazała bibliotece szkolnej komplet „Pisma” KAJ-a.

**OD REDAKCJI:** Sprawozdanie, przygotowane w ostatniej chwili utrzymaliśmy w oficjalnej formie, bo oprawa uroczystości była bardzo podniosła. O samej szkole będziemy jeszcze pisać niejednokrotnie, śledząc i towarzysząc poczynaniom grona pedagogicznego. Kolegium redakcyjne ustaliło formy swej współpracy z dyrekcją szkoły.

**W**YBORY do Sejmu i wojewódzkich rad narodowych odbędą się 21 marca. Znałe już są nazwiska kandydatów Frontu Jedności Narodu. Prasa opublikowała deklarację wyborczą FJN, przyjętą na sesji Ogólnopolskiego Komitetu FJN.

Deklaracja podkreśla, że kierunki dalszego rozwoju Polski w drugiej połowie lat siedemdziesiątych wytycza program VII Zjazdu PZPR. Jest to program dalszego dynamicznego rozwoju gospodarstwa narodowego, wszechstronnego urzeczywistnienia sprawiedliwości społecznej, program budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Front Jedności Narodu uznaje go za program ogólnopolski.

Konsekwentna polityka rozwoju gospodarstwa narodowego — a mówił o tym m. in. na sesji OK FJN nowo wybrany przewodniczący OK FJN, Henryk Jabłoński — służy podniesieniu na wyższy poziom jakości życia narodu, zwiększeniu udziału Polski w dorobku socjalistycznej wspólnoty, umocnieniu pozycji naszego państwa w świecie. Im nowocześniejsza, im prężniejsza będzie gospodarka, im lepiej zorganizujemy codzienną pracę, tym większy będzie wytworzony dochód narodowy, tym większa jego część przypadnie każdemu z 34 milionów Polaków w uczciwym i sprawiedliwym podziale. Celem nadrzędnym naszego państwa jest i pozostaje dobro całej naszej etnicznej zbiorowości i dobro każdej wchodzącej w jego skład jednostki.

Henryk Jabłoński zwrócił uwagę na fakt, że socjalizm udostępnia ludziom pracy nie tylko coraz więcej potrzebnych im dóbr materialnych, ale także — szerzej niż jakikolwiek inny ustrój — tworzy wartości wyższego rzędu, duchowe i moralne.

To pięciolecie będzie szczególnie znaczące dla rozwoju oświaty, nauki i kultury. Upopowszechnianie średniej szkoły dziesięcioletniej rozpocznie dzieło reformy systemu edukacji narodowej. Będzie on lepiej służyć przygotowaniu kadr dla

## WYBORY 21 III

### PROGRAM PZPR PROGRAMEM NARODU

gospodarki, stając się równocześnie istotnym czynnikiem egalitaryzmu, wyrównując życiowe szanse całego młodego pokolenia.

Pomyślne perspektywy otwierają się przed nauką, nieustannie troszczyć się będziemy o rozkwit naszej narodowej kultury.

Deklaracja wyborcza FJN uwypukla rolę państwa, które jest najwyższym dobrem narodu polskiego. Ustrój państwa, jego istotę, charakter dokonanych przeobrażeń i socjalistyczne perspektywy określa Konstytucja PRL. Będziemy niezłomnie urzeczywistniać konstytucyjne zasady ustrojowe, będziemy doskonalić działalność organów państwowych. Program dynamicznego, socjalistycznego rozwoju Polski stawa rza możliwości rozwoju każdego regionu, każdego województwa, miasta i gminy.

Wykorzystując walory reformy terenowych organów władzy i administracji — podkreśla Deklaracja — doskonalić będziemy działalność rad narodowych, zacieśniać ich więź ze społeczeństwem, podnosić poziom ich pracy, aktywność i inicjatywę. Działalność administracji służyć musi życiowym interesom obywatela. Nadal konsekwentnie będziemy rozwijać demokrację socjalistyczną, uczestnictwo wszystkich ludzi pracy w życiu politycznym, gospodarczym i kulturalnym, współdecydowanie o sprawach kraju i zakładów pracy, o sprawach miast i gmin, społeczną kontrolę nad działalnością gospodarczą i administracyjną państwa.

Polityka zagraniczna Polski — to przyjaźń i sojusz z ZSRR, umacnianie jedności wspólnoty socjalistycznej. W stosunkach z krajami o odmiennych ustrojach Polska będzie nadal rozwijać wzajemnie korzystną współpracę w oparciu o zasady pokojowego współistnienia. Wspólnie w ścisłym współdziałaniu ze swymi sojusznikami kraj nasz będzie konsekwentnie dążył do pełnego wcielenia w życie uchwał historycznej Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, do utrwalenia polityki odprężenia, zaprzestania wyścigu zbrojeń i wkroczenia na drogę rozbrojenia.

Ojczyzna nasza jest matką wszystkich Polaków. Obywatelom wierzącym, katolikom i przynależnym do innych wyznań, Polska Rzeczpospolita Ludowa zapewnia swobodę sumienia, praktyk i obrzędów religijnych. Wobec różnicowania stosunku do spraw religii, wszystkich obywateli jednakowo obowiązuje wynikająca z ducha Konstytucji i z naszych dobrych tradycji zasada wzajemnej tolerancji.

Wybory — 21 marca. Manifestacja patriotyzmu i jedności.

## XXV ZJAZD KPZR

# PÓKOJ I ODPREŻENIE

**W** CHWILI, gdy oddajemy te słowa do druku, w Moskwie obraduje jeszcze XXV Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, w którym uczestniczy ponad sto delegacji zagranicznych. W żadnym poprzednim Zjeździe KPZR nie było tylu gości. XXV Zjazd znajduje się w centrum uwagi prasy, radia i telewizji całego świata. Szczególnie wiele komentarzy wywołało Sprawozdanie Komitetu Centralnego KPZR wygłoszone przez Sekretarza Generalnego KPZR, Leonida Breżniewa, sprawozdanie, będące jednocześnie wielkim programem pokoju i dobrobytu.

Słowa „pokój i odprężenie”, a podkreśla to i prasa burżuazyjna, stanowią nieodłączny element radzieckiej polityki zagranicznej. Oto np. kilka charakterystycznych tytułów z prasy zachodniemieckiej: „General Anzeiger” — „Breżniew zachęca do rezygnacji z użycia siły w skali światowej”; „Neue Rhein Zeitung” — „Propozycja Breżniewa: Wszystkie państwa powinny zrezygnować z użycia siły”; „Westfaelische Zeitung” — „Nowa radziecka inicjatywa — światowe rozbrojenie”.

Jeśli chodzi o politykę wewnętrzną Kraju Rad, prasa zachodnia zwraca uwagę na przedstawione w Sprawozdaniu KC osiągnięcia gospodarcze. Te osiągnięcia są rzeczywiście imponujące. W minionym dziesięcioleciu potencjał przemysłowy ZSRR wzrósł o tyle samo, co w całej poprzedniej historii

Kraju Rad. Dzięki temu można było w ostatniej pięcioletce podwyższyć realne dochody o blisko jedną czwartą. Dalszej poprawie uległy warunki mieszkaniowe (56 milionów ludzi), o 40 proc. zwiększyły się wypłaty i świadczenia ze społecznego funduszu spożycia. Poważne osiągnięcia ma i rolnictwo, mimo klęsk żywiołowych.

Do zwiększenia efektywności produkcji przyczynił się w dużej mierze szybszy niż w innych gałęziach rozwój energetyki, wydobycia ropy naftowej i gazu, rozwój chemii, elektroniki, przemysłu maszynowego i środków automatyzacji. W samej tylko Syberii wydobycie ropy naftowej osiągnęło w 1975 r. niemal 150 mln ton, a gazu — ok. 38 mln ton.

Dotychczasowe sukcesy stały się podstawą wyjściową do opracowania kolejnego, dziesiątego już, planu pięcioletniego. Przeciętną płacę robotników i pracowników umysłowych zamierza się w tym okresie zwiększyć o 16—18 proc., zaś dochody kolechożników ze wspólnej gospodarki o 24—27 proc. Na rozwój przemysłu lekkiego i spożywczego, a także sektora usług przeznaczają się w dziesiątej pięcioletce ponad 31 miliardów rubli — o 6 miliardów rubli więcej niż w poprzedniej pięcioletce. Partia nadal troszczyć się będzie o polepszenie warunków mieszkaniowych ludzi pracy. W ciągu pięciu lat zbuduje się ogółem 550 milionów metrów kwadratowych; rzecz w tym, aby te mieszkania były jeszcze lepiej

rozplanowywane, budowane dobrze, starannie i ładnie.

Sprawą najważniejszą jest obecnie nastawienie się wszystkich dziedzin gospodarki na zdecydowane podniesienie efektywności i jakości.

Świat wkroczył w epokę rewolucji naukowo-technicznej. KPZR nakreśliła zadania wykorzystania postępu nauki i techniki dla dobra człowieka, jego poziomu życia.

Nie sposób w krótkim materiale nawet zasygnalizować całego bogactwa myśli, które znalazło wyraz w Sprawozdaniu KC, pogłębionym przez dyskusję. W tej dyskusji zabrał również głos I Sekretarz KC PZPR, Edward Gierek. Przemawiał on jako pierwszy przywódca zagraniczny, gość Zjazdu.

„Dzielimy po bratersku Waszą satysfakcję i gratulujemy Wam osiągnięcie ostatniego pięcioletnia — powiedział m. in. — Realizacja uchwał XXIV Zjazdu dobrze służyła państwu radzieckiemu oraz pomyślności jego obywateli. Przyczyniła się do wzrostu sił i umocnienia jedności wspólnoty państw socjalistycznych. Nakreślony na XXIV Zjeździe program pokoju rozszerzył i pogłębił proces odprężenia, miał decydujące znaczenie dla całokształtu stosunków międzynarodowych. Obecny, XXV Zjazd KPZR rozwija i wzbogaca ten dorobek, wnosi doniosły wkład do rozwoju teorii i praktyki socjalizmu, nakreśla jeszcze bardziej rozległe horyzonty.”

ług wskaźników produkcji dodanej, to przysporzyliśmy państwu oszczędności dewizowych, nastąpiło, by tak rzec, potaniecie kosztu wyrobów i całościowo wyszliśmy lepiej niż w roku 1974!

— Ci, co was rozliczają, nie wiedzą o tym?

— Wiedzą, ale nowy system ekonomiczny siłą rzeczy dociera się powoli i w okresie przejściowym rozliczenia są podwójne: według starych i nowych norm. Dla EDY stwarza to określone napięcia, albowiem fabryka jest w ciągłym rozwoju, mamy już centralnie potwierdzone dwa poważne zadania inwestycyjne na bieżącą pięcioletkę: rozbudowę produkcji sprężarek i silników oraz zakład oprządkowania technologicznych, służący celom zjednoczenia PREDOM.

— To was znów uokuje niekorzystnie według dawnych wskaźników, gdyż zatrudnienie wzrosło i tak dalej.

— Chcemy, aby oprządkowania technologiczne były osobno rozliczane. A zresztą, żeby jeszcze ten rok przeżyć, bo od przyszłego raczej już całkowicie przechodzimy na nowe wskaźniki WOG-owskie, żeby jeszcze ten rok przeżyć...

Przyznam, iż spokojnie, rzeczowe wywody dyrektora Bilskiego przekonały mnie, choć trudno się było oprzeć wrażeniu, że istnieje tu jakaś ciuciubabka ekonomiczna, może początkowo nie do uniknięcia?

— Rozmawialiśmy dzień po narodzie, która w fabryce toczyła się pod aktualnym hasłem szukania rezerw produkcyjnych. Od 2 lutego funkcjonują w zakładzie cztery zespoły, zajmujące się tą sprawą. Na wydziałach wiesz się skrzynki, do których załoga ma wrzucać pisemne wnioski w tej materii. Opracowany do końca lutego zakładowy program wykorzystania rezerw będzie zatwierdzony przez zjednoczenie i 31 marca „stanie” w fabryce na konferencji samorządu robotniczego, gdzie zapewne zostanie — jak to się powiada — „klepnięty”.

Czytam ulotkę, jaką wystosowała do załogi zakładowa komisja do spraw analizy rezerw i programu ich wykorzystania: „Szczególną uwagę w przeglądzie należy zwrócić na rezerwy w zatrudnieniu, wydajności pracy, zmianowości, organizacji pracy, konstrukcji wyrobów, technologii wytwarzania, kwalifikacjach zawodowych, zużyciu materiałów, surowców i energii, wadliwej produkcji, poprawie warunków pracy, poprawie transportu wewnętrznego i zewnętrznego, wykorzystaniu maszyn, urządzeń, powierzchni produkcyjnych i magazynowych”.

Lakoniczne te sformułowania nie są przełożone na język codziennej krzątania produkcyjnej robotnika, na pojęcia związane z pracą poszczególnych wydziałów, taśm, gniazd i stanowisk roboczych. Może to zadania średniego nadzoru: mistrzów, brygadystów... Ale jest w ogóle pośpiech, terminy rzeczowego programu, egzekwowane przez resort i zjednoczenie, wydają się zbyt krótkie i całe to przedsięwzięcie będzie miało sens, jeśli zostanie potraktowane nie jako jednorazowa akcja, lecz jako permanentny, elastyczny proces, obliczony na lata. W fabryce uzyskuje zapewnienie że tak to właśnie rozumieją, uwalniając plany realizacji zadań produkcyjnych również od wykorzystania rezerw.

Te pobożne intencje sprawdzi praktyka. W tej chwili nie widać pilniejszej potrzeby niż codzienne rozmienianie terminu „rezerwy”, nieco już zużytego przez dziennikarzy, choć trudnego do zastąpienia, a więc rozmienianie owego terminu na drobne nawet, ale konkretne pomysły każdego pracownika. Myślę, że z pewnym wysiłkiem można by się tu zdobyć na wniosek ogólniejszy. Sztukę wyzwiania ludzkiej inicjatywy, demokratyzowania procesów zarządzania zakładem musi nasz przyniesić w stopniu wyższym niż dotąd. Cały przemysł, EDY, będąc typowym kooperantem, monopolistą krajowym w dostarczaniu niektórych sprężarek czy silników, sama zależy od własnych kooperantów. Wydział sprężarek stała, gdy nie przyjdzie drut nawojowy, izolatory przepustów z

Koszaliną, osłony z Milowic. W ostateczności narzeka producent pralek, a na końcu klient nasz powszedni. Bywało, bywało...

Jak głębokie i wielostronne są tutaj zależności, jak daleko sięgają w dziedzinę technologii, świadczy opinia, którą usłyszałem właśnie na wydziale sprężarek: istnieje w Polsce za mała typizacja produkcji łożysk i podzespołów do maszyn w pewnych dziedzinach przemysłu, toteż awaria określonej maszyny powoduje czasem lawinę długotrwałych poszukiwań nietypowego podzespołu, który akurat uległ uszkodzeniu, a czas biegnie, rytmiczność produkcji się chwieje. Kano-

Jest to też załoga dosyć młoda i na ogół o wysokich kwalifikacjach zawodowych, co należy zawdzięczać sprawnemu zespołowi szkół przyzakładowych (w nowo otwartej odlewni wszyscy młodzi pracownicy ukończyli tę szkołę, a średnia wieku wynosi 19 lat).

Warunki pracy zakładu i warunki socjalne oceniam jako dobre. Utrzymana w czystości stołówka wydaje ponad 700 obiadów dziennie, 1000 posiłków regeneracyjnych oraz garmazerkę dla ośmiu bufetów wewnętrznych, co tymczasowo zaspokaja potrzeby. W 1978 roku rozpocznie się budowa nowej stołówki, o „zdolności” 1200 obiadów. Roczny

pracowników (dojeżdża około 1700 osób i jeszcze około sześćset wakatorkową „ciuchcią”). Rocznie interes ten kosztuje fabrykę ponad 7 milionów złotych. Odległości nie są najczęściej zbyt wielkie — od 20 minut do pół godziny. EDA odstąpiła PKS-owi ośmiu swoich pracowników, którzy zostali przeszkoleni i pracują jako kierowcy autobusów. I nadal wozy spóźniają się. Bywa, że na jedną zmianę spóźniają się do 90 pracowników, szczególnie zimą. Bywa, że na trzecią zmianę autobusy w ogóle nie dowiozą ludzi! Straty produkcyjne z tego tytułu są wprost nieobliczalne. Spóźnienie czy brak kilku jedynie pracowników sprawia przy produkcji potokowej lub taśmowej, że cała taśma albo potok zostają zatrzymane i nawet ludzie, którzy stawili się punktualnie do pracy, nie mają zajęcia.

— Czy liczyć spóźnienia w skali rocznej, żeby mieć podstawę do obciążenia PKS-u? — pytam Antoniego Pintę.

— Trudno to policzyć...

— Ale trzeba.

— Trzeba, tylko że odpowiednie przepisy są bardzo liberalne dla przewoźnika, nakładają minimalne kary za spóźnienia. Więcej się straci czasu i nerwów w arbitrażu niż to wszystko warte, gdyby liczyć wyegzekwowane ewentualnie kwoty. Ponadto PKS ma skłonność do nieuznawania spóźnień autobusów, jeśli pracownicy zostaną punktualnie z rozpoczęciem pracy dostawieni pod bramę zakładu. EDA zaś jest zakładem rozległym, wydziały są porozrzucone i trzeba by tu jeszcze uwzględnić czas stracony na dojście do stanowiska pracy...

— Słyszę też, że jesteście w czołówce wojewódzkiej, gdyby szło o absencję chorobową. Jeśliby zliczyć pewnego pięknego dnia wszystkich nieobecnych w pracy z tego tytułu, to mogłoby się okazać, że liczba ich srogą stanu osobowego całego wydziału — podsuwam drugą kwestię, z jaką do EDY przyjechałem.

— Tak jest i robimy, co możemy, żeby dojść przyczyny zjawiska. Badaliśmy to w przekroju wiekowym, uwzględniając płeć. Badaliśmy w przekroju jednostek chorobowych, uwzględniając okoliczny klimat nawet, który mamy dobry, naleźcowski niemal. Badaliśmy i żadnych wyraźnych prawidłowości nie da się wykryć! Nic nas specjalnie nie wyróżnia spośród podobnych zakładów, tylko ilość.

Wróciłem do Lublina i udałem się na rozmowę do Specjalistycznego Przemysłowego Zakładu Opieki Zdrowotnej. Oczekiwała mnie silna grupa w osobach dwu lekarzy i pracownika lubelskiego ZUS-u. Zarówno wskaźniki lekarskie jak i zusowskie sytuują nasze województwo na jednej z najbardziej korzystnych w kraju pozycji, jeśli idzie o wskaźnik absencji chorobowej w zakładach przemysłowych. Nie przeszkadza to, że EDA znajduje się w sytuacji najmniej korzystnej, w gronie przedsiębiorstw budowlanych i transportowych.

Myślę, że przymierzanie się w EDZIE do długofalowego programu wykorzystania ukrytych zdolności produkcyjnych ciągle jeszcze wymaga gruntownego rozpoznania przyczyn i skutków związanych ze spóźnieniami i absencją chorobową. Oto bowiem dowiaduję się, że kontrola ZOZ-u, przeprowadzona w przyzakładowej przychodni w lutym 1974 roku, wykryła brak systematycznej analizy absencji chorobowej oraz brak dokładnej dokumentacji lekarskiej. Ze na przykład odsetek wykonania planu badań profilaktycznych za rok ubiegły wynosi w EDZIE 71 procent.

Czas, by ten prężny i nowoczesny zakład, który tak wiele uczynił dla miasta, co nie zawsze daje się przelecieć na bezwzględne wskaźniki ekonomiczne, a jest sprawdzalne w zakresie wartości społecznych, czas zatem, by ten zakład jeszcze więcej uczynił dla siebie, aby lepiej przeżyć ten rok i następne.

Maciej Podgóski

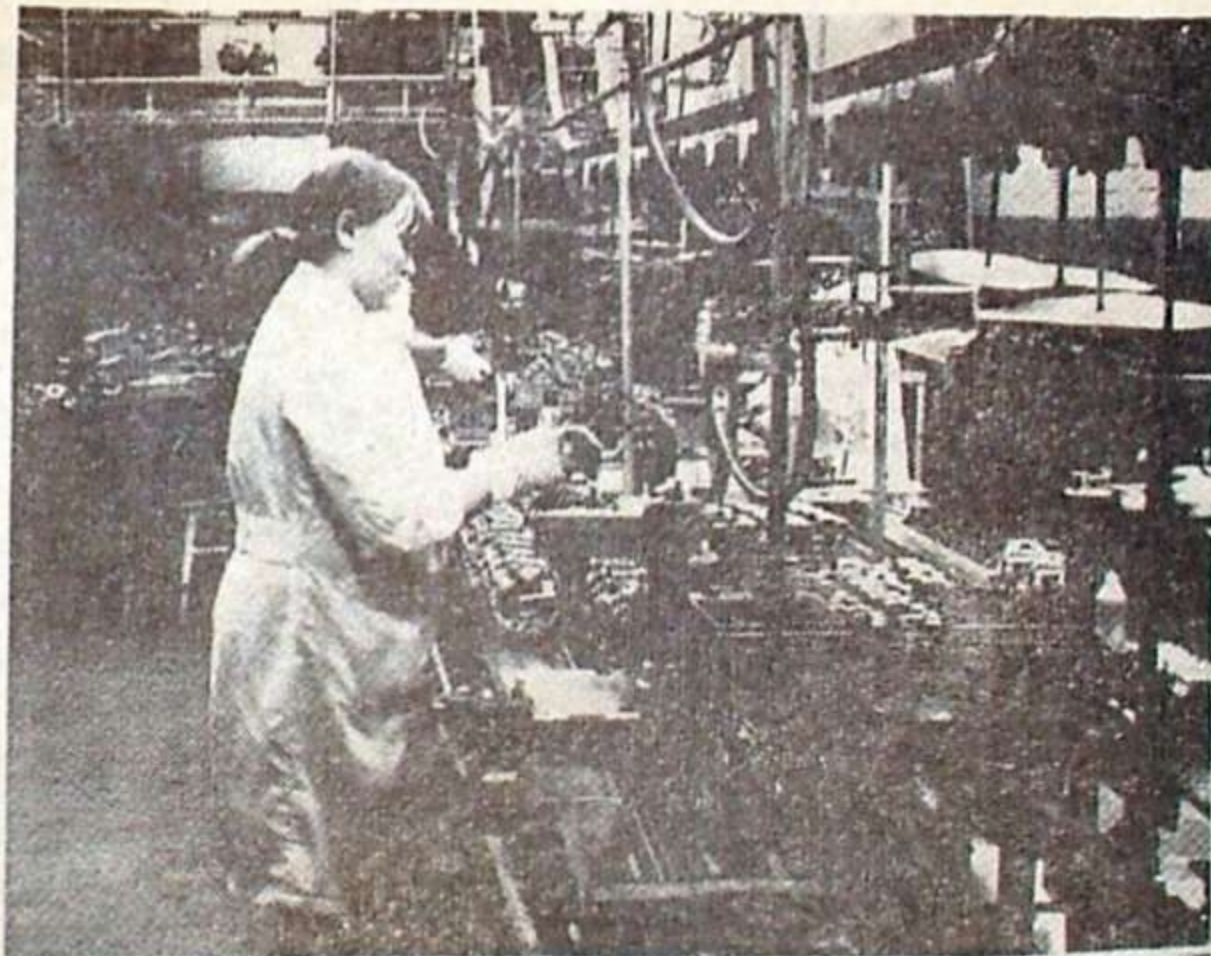
Kamena str. 3

## TEN ROK I NASTĘPNE

niczna kwestia części zamiennych posiada i taki wymiar, wkraczając zresztą w problem standaryzacji wyposażenia zakładów, polityki zakupów licencyjnych. I to już kwestia rezerw... myślenia.

Rozpoznanie i uruchomienie możliwości produkcyjnych, ukrytych w gospodarce surowcowej i energetycznej zakładu, w organizacji produkcji, technologii wytwarzania i tym podobne — są to sprawy niezmiernie ważne, ale niestety nie da się ich sensownie nawet postawić

obróć zakładowej gastronomii wynosi tyle, co lokalnej restauracji z wyszynkiem. Rozbudowany w roku 1974 zakładowy dom kultury mieści największą w Poniatowej bibliotekę, gdzie cały księgozbiór, ponad 23 tysiące tomów, stoi na samoobsługowych półkach; jedyne w Poniatowej kino (wykorzystane także jako sala widowiskowa) na 300 miejsc; jedyne też kawiarnię, gdzie można potańczyć, a nie oberwać w oblicze, ponieważ alkohole są tylko drogie, zaś pijaczków



EDA

Fot. KAW

bez rozpoczęcia od ludzi, od rezerw dobrej woli, inicjatywy, pomysłowości, pracowitości, dyscypliny załogi, choć tu akurat problemy najtrudniejsze do rozpoznania, a rozwiązaniem ich nie zawsze zależne od samego zakładu. O tym właśnie rozmawiam w EDZIE z Antonim Pintą, głównym specjalistą do spraw pracowniczych, oraz Andrzejem Wójcikiem, kierownikiem działu osobowego i szkolenia zawodowego.

Wspólnie wychodzimy od oczywistego przeświadczenia, że produkcyjną pomysłowość fabryki i ludzką pomysłowość załogi trzeba budować z takimi ludźmi, jakich się posiada. Kwestia tylko wymagań, które się stawia, i możliwości, które się stwarza. Ale jaka to jest załoga? Przede wszystkim bardzo stabilna, blisko połowa zatrudnionych posiada staż pracy ponad pięcioletni, a EDA nie ma żadnych problemów z tak zwaną fluktuacją, co wynika również i stąd, że fabryka stwarza na tym terenie najkorzystniejsze warunki zatrudnienia, zaś popyt przekracza nieco potencjał ogólnego rynku pracy w ogóle.

stawiających na stolikach wyjęte z pazuchy „sikacze” po prostu się usuwa (w praktyce tego nie widziałem, gdyż kawiarnię oglądałem w godzinach przedpołudniowych). EDA jest oceniana jako zakład lekkiej produkcji, zaś wydział wytwarzający bezpieczniki automatyczne spełnia wszystkie warunki wydziału pracy chronionej, co ważne dla młodych kobiet, które wybierają się rodić dzieci.

To wszystko ma wpływ na stabilizację załogi, więc problemy rodzą się gdzie indziej. W jednym z wydziałów od 15 do 24 stycznia br. badano wyrywkowo czas trwania rekreacyjnych przerw w pracy i czas rozpoczęcia pracy. Wychwycono 100 godzin zmarnowanych! Jeśli kwestia samowolnego przedłużania przerw rekreacyjnych spoczywa w kompetencjach mistrzów i brygadystów, i oni powinni pilnować, żeby tu wszystko było w porządku, to straty wynikające z późniejszego rozpoczęcia pracy zależą przede wszystkim od PKS-u.

EDA ma umowę z PKS-em (oddział Opole Lubelskie) na dowóz

# NIE BĘDZIE PRZEMYSŁU DRUGIEJ KATEGORII

Jerzy Dostatni

JEDNYM z ubocznych, chociaż wcale nie przypadkowych czy nie zamierzonych skutków reformy podziału administracyjnego kraju jest także przeprowadzana właśnie reorganizacja państwowego przemysłu terenowego. Niektórzy wprawdzie mówią o jego likwidacji, moim zdaniem jest to jednak nieporozumienie. Likwidacja w zasadzie ma znaczenie pejoratywne, w omawianym przypadku natomiast chodzi o zastąpienie dotychczasowej, przestarzałej struktury jednego z działów naszej gospodarki formą nową, bardziej efektywną.

Nie ulega też żadnej likwidacji dotychczasowy potencjał ludzki i techniczny. Odwrotnie, w nowej postaci perspektywy rozwojowe tego działu zarówno znacznie się przybliżają, jak i powiększają. Likwidacji ulega tylko sama tzw. czapka, czyli Wojewódzkie Zjednoczenie Przedsiębiorstw Państwowego Przemysłu Terenowego, z tym, że wszyscy jego pracownicy otrzymają propozycje pracy w innych jednostkach, propozycjom odpowiadające ich kwalifikacjom. W kilku, dosłownie kilku, przypadkach będą to propozycje nie odpowiadające oczekiwaniom. Oto jeden z kierowników działów byłego WZPPPT posiadał tylko wykształcenie podstawowe, natomiast jego

uposażenie — a nie chodziło tu o dział produkcyjny — wynosiło miesięcznie 3700 złotych plus 1000 złotych dodatku funkcyjnego plus 20 proc. premii — razem 5640 złotych. Natomiast kierownik innego działu, mający ukończone studia wyższe, pobierał miesięcznie 4000 złotych plus 10 proc. premii — razem 4400 złotych. W pierwszym przypadku staż pracy był dłuższy, ale przecież od wielu lat istniały realne możliwości stosunkowo łatwego uzupełnienia wykształcenia, a od pewnego czasu było to także wymogiem obowiązującego taryfikatora. Ale pracownik nie chciał się uczyć, kierownictwo zjednoczenia zaś nie potrafiło go do tego skutecznie zachęcić, zmusić zagrożeniem zwolnienia z tego stanowiska. Dziś są przykre rezultaty. (Albo panią, która w niecały rok po ukończeniu technikum zawodowego zarabiała już 4000 złotych...)

Dlaczego reorganizacja przemysłu terenowego związana jest z reformą podziału administracyjnego? Tu trzeba na chwilę cofnąć się do roku 1946. Istniało wtedy w każdym województwie po kilka, lub po kilkanaście małych przedsiębiorstw uspołecznionych i czasem właściwie nie było wiadomo, komu one podlegały. Produkowały co się dało, w Lublinie np. świece, pastę do bu-

tów, prymitywne brzozy, gwoździe. Ze względu na zdewastowany park maszynowy, podławe często surowce jak i brak kwalifikacji po okresie okupacyjnym, jakość tych wyrobów była bardzo niska. Dziś większość z nich nazwalibyśmy bubłami. Ale wtedy klientów nie brakowało, opustoszały rynek pochłaniał wszystko, co tylko dało się do czegokolwiek użyć.

Otóż w tymże 1946 roku powstała w Lublinie, podobnie jak w innych województwach, Dyrekcja Przemysłu Miejskiego, a organizował ją i przez wiele lat nią kierował Feliks Klementowski. Podlegało jej pięć przedsiębiorstw, których nazw nawet wielu starszych ludzi już dziś nie pamięta, jak np. Bengal czy Karwin-Trynlec. W następnych trzech latach do Dyrekcji włączono 13 dalszych zakładów — o ich wielkości świadczy fakt, że stan zatrudnienia w całej DPM wzrósł wtedy z 500 do 800 osób. Plan sześciolaty uwzględniał przede wszystkim przemysł państwowy zwłaszcza zaś maszynowy — przede wszystkim chodziło o dostarczenie środków produkcji, a także szybkie tworzenie nowych miejsc pracy. Stąd na inwestycje w przemyśle terenowym zostało bardzo niewiele i po dawnemu w prymitywnych warunkach produkowano pół-buble. Następna pięcioletka była bardziej łaskawa — wtedy powstały m. in. Łukowski Zakłady Ołowia, zakłady metalowe w Białej Podlaskiej i Międzyrzeczu, rozbudowano hutę szkła i zakłady owocowo-warzywne w Terespolu.

W 1954 roku Dyrekcję Przemysłu Miejskiego przemianowano na Wojewódzki Zarząd Przemysłu Terenowego, który po dalszych pięciu latach nazwano Wo-

jewódzkim Zjednoczeniem Przedsiębiorstw Państwowego Przemysłu Terenowego (jak widać, nasze skłonności do zmiany nazw nie są wynalazkiem ostatnich lat). Była to już duża jednostka: dziesięćdziesiąt przedsiębiorstw wielobranżowych i osiem tysięcy pracowników, razem osiemdziesiąt pięć zakładów produkcyjnych. Zatrudnienie wzrosło do 4500 osób.

Przemysł terenowy podlegał — właśnie, tu zaczynał się kłopot — w tzw. poziomie, jak to wówczas mówiono, władzom terenowym, czyli powiatowym radom narodowym (czyli sem bezpośrednio wojewódzkiej), natomiast w pionie — Komitetowi Drobnej Wytwórczości. Z czasem zaczęły się tworzyć różne zrępowania branżowe, przedsiębiorstwa windujące, komisje, kolegia itp. Pamiętam rozmowę z dyrektorem Lubgału, który mi wyliczył, że ma aż siedem instytucji zwierzchnich, z których pięć uważało się za urównionych do określenia mu wszelkich wskaźników planu rocznego. I pokazał mi tych pięć planów, z których każdy był inny.

Mniej lub więcej faktyczną zależność od rad narodowych, a właściwie ich prezydów, powodowała, że przedsiębiorstwa przemysłu terenowego wpłacały swój zysk roczny do budżetu tych rad. A ponieważ kasy rad z zasady były chude, nie dziwne, że starały się one wydusić możliwie najwięcej pieniędzy z podległych im przedsiębiorstw, aby podreperować swoje finanse. Bywało — widziałem to na własne oczy — że wydział finansowy domagał się wyższej wpłaty niż cały zysk, ustalony przez wydział przemysłu czy komisję planowania gospodarczego. To oczywiście, zmuszało dyrektorów czy kierowników do lawirowania, czasem wprost do kręctwa w sprawozdaniach i bilansie.

Równocześnie rady zobowiązane były finansować inwestycje swojego przemysłu terenowego, a także dać im określone, niezbędne środki obrotowe, czyli po prostu pieniądze. Jedne rady nie rozumiały, że aby inkasować zysk, trzeba najpierw

# Komu męża, komu

Dokończenie ze str. 1

A propos — czy szanowni czytelnicy zapoznali się z potyczką na listy, jaką przeprowadziły obie płci na łamach „Życia Literackiego” pod kierunkiem Jerzego Lovella? Przypomnijmy. Wszystko zaczęło się od listu „Polonistki”, która zasygnalizowała, że w obecnej dobie coraz więcej kobiet z wyższym wykształceniem nie może znaleźć mężów. Nastąpiła burzliwa listowna dyskusja, w której panowie i panie wygarnęli sobie wszystkie żale i pretensje nie przebiegając w argumentach i ostrych sformulowaniach. Jerzy Lovell stwierdził: *To nie był turniej rycerski, ani dworskie przekomarzenie: tutaj poszły w ruch — cepy. Z lektury tych listów od razu więc narzuca się pierwszy wniosek: jak bardzo odeszliśmy od tradycyjnych wzorców postępowania Polaków wobec kobiet... i jak bardzo odarliśmy ideał kobiety i miłości z wszelkich romantycznych złud. Widzimy przed sobą dwoje zażartych, zimnych przeciwników. Na miły Bóg, kto narzucił te straszliwe reguły gry? Mężczyźni? Kobiety? Czas? Ludzie?*

A więc dowiadujemy się, że dziewczyny z wyższym wykształceniem to: ćwierć-kobiety z wypaczoną psychiką, cyniczne egoistki, rozwiązłe i prymitywne hrabiny itp.; mężczyźni zaś to: pasożyty, wstrętnej egoiści, maminsynki z łysinami na głowach itp. Zarówno jedni jak i drudzy podali całe mnóstwo przyczyn, z powodu których nie mogą znaleźć partnera. Problemu samotności nie rozwiązano. Jedyna korzyść z obszernych publikacji Jerzego Lovella to uświadomienie wszystkim poszukującym męża czy żony, że nie są odosobnieni w swych kłopotach, a sam problem dojrzał do tego, aby zajęli się nim socjologowie i psychologowie.

Ale wracajmy do naszego tematu. Jak wyżej zostało wspomniane, większość osób zgłaszających oferty matrymonialne to ludzie wykształceni, posiadający własne mieszkania i samochody. Piszą, że są przystojni, eleganccy, o wysokiej kulturze duchowej. Rzadko tylko zdarza się sformułowanie typu: *Pani, może przystojna... pozna pana. Z reguły pragną poznać partnerów o podobnych walorach*, więc także dobrze sytuowanych, o reprezentacyjnym wyglądzie zewnętrznym i z odpowiednio szlachetnym charakterem. Pomijając sprawę dóbr materialnych i wyglądu zewnętrznego na-

leży stwierdzić, że niekiedy poszukiwane są tak piękne cechy ludzkie jak: dobroć, kultura, miłe usposobienie, solidność, szlachetność i wrażliwość. Jednakże w ostatecznym rozrachunku dominują sprawy nie duchowe ale takie, które decydują o określonej pozycji społecznej. Więc: wykształcenie, zawód, mieszkanie, samochód.

W ofertach matrymonialnych zauważa się ogromne zapotrzebowanie na mieszkania w stolicy. Wydaje się, że w naszej mentalności pokutuje przekonanie, iż reszta kraju to prowincja. Niekiedy znajdujemy jasno sformułowane potrzeby: *Student IV roku Politechniki Warszawskiej pozna pannę z Warszawy posiadającą mieszkanie, lub Kawaler 174/78/38, wykształcenie średnie, pozna pannę do lat 35, uczciwą z mieszkaniem, działką, Warszawa, okolice. A więc nie dodać, nie ująć.*

Czasem tylko zdarzają się niebanalne ogłoszenia typu: *Rozsadza mnie radość życia, chciałbym się nią podzielić z dziewczyną, która lubi taniec, turystykę i Grzegorza Lato.*

Ale większość ludzi dochodzi do słuszych wniosków, że samą radością życia, tańcem, turystyką i miłością do sportu — geby nie zatka. Jasno formułują swoje zapotrzebowania estetyczne, materialne i duchowe. Poszukiwani partnerzy muszą mieć miłą aparycję, wysoki wzrost, odpowiednią pozycję społeczną, a dopiero następnie określone cechy charakteru. Najczęściej poszukiwany model psychiczny to człowiek spokojny, domator, bez nalogów, lubiący dzieci, mający jakieś zainteresowania hobbystyczne. Więc taki, który gwarantuje ciche, spokojne życie, życie bez żadnych wstrząsów i niespodzianek, monotonne, pozbawione większych atrakcji, ale za to ustabilizowane.

Znamienne, że większość dobrze usytuowanych panów chce poślubić lekarkę. Czy działa tu magia rangi zawodu, czy też chęć posiadania dobrej opieki nad własnym zdrowiem? Dużą popularnością, tuż po lekarkach cieszą się dentystki i pielęgniarki. Inne zawody rzadko są brane pod uwagę, wystarczy, że partner posiada odpowiednie wykształcenie. Trudno zrozumieć po co panom partnerki z ukończonymi studiami (chyba tylko dla nobilitacji towarzyskiej, jaką daje dyplom), skoro większość z nich chciałaby mieć żony o charakterze „cura domestica”. Ma bowiem być to kobieta troszcząca się i dbająca o dom, gospodarna, uczciwa, spokojna, nie paląca i nie pijąca i chyba bez większych ambicji życiowych. Panie natomiast, szukając męskiej opieki, pragną mężów dobrze sytuowanych, przedsiębiorczych, kulturalnych, przy-

stojnych i z mieszkaniami. Jedni jak i drudzy oferują dobra materialne, świetlane cechy charakteru oraz przede wszystkim reprezentacyjny wygląd zewnętrzny. Gdzie się podzieli ludzie nieładni i nieprzystojni? Chyba takich nie ma. Natomiast są: atrakcyjne, wysokie, naturalne blondynki, przystojne i zgrabne szatynki, wysocy bruneci, przystojni domatorzy itp.

Rzadko spotykamy oferty, w których mało proponuje się i mało żąda, np: *Kulturalna, przystojna, pozna pana w wieku 42 lat, wzrost 172. Inni nie lubią kupować kota w worku, więc od razu kładą karty na stół: Kawaler lat 34, wzrost 170, studia wyższe ukończone, własne mieszkanie w Warszawie, pozna pannę — panią do lat 28, samotną, bez nalogów, nienagannie solidną, bez przeszłości, wysoką, dobrej budowy, wykształcenie minimum średnie lub: Samotna lat 44, inteligentna, materialnie niezależna (prywatna inicjatywa), pozna kulturalnego pana do lat 47, wykształcenie średnie, lubiącego turystykę, chętnie z samochodem.*

Do wyjątkowych, rozbijających swoją szczerością ofert można zaliczyć tylko nieliczne: *Kolomb rocznik 1924 (180) bez nalogów, samochodu i innych walorów materialnych, posiadający dyplom uniwersytecki, wrażliwą naturę i szerokie zainteresowania, pozna samotną, reprezentacyjną, wykształconą panią z Warszawy do lat 40, o nieprzeciętnym umyśle i charakterze promienną, dobrocią i pogodą. Wymagamia, jak na nasze nerwowe życie, są bardzo duże, ale za to szczerze i uczciwe.*

Inni szukają opieki i zabezpieczenia materialnego: *Literat, 24, z „nazwiskiem” lecz bez mieszkania, kulturalny, przystojny, 185, kończący studia, pozna inteligentną i sytuowaną damę, mogącą stworzyć mu dobre warunki pracy twórczej. Ot i raj dla snobek, jeśli ma się wszystkie dobra doczesne, warto pomyśleć o sławie, którą na pewno przyniesie „nazwisko” młodego poety.*

Wiele osób chce połączyć przyjemne z pożytecznym. Już w ofercie zdradza swoje plany, jakie wiąże z zapoznania osobą: *Rencistkę, malomówną, bez nalogów, wiek średni, umiejącą prowadzić ogródek kwiatowy, pozna w celu matrymonialnym. Albo: Samotną panią prowadzącą zakład usługowy lub budowlany pozna kulturalny pan w średnim wieku.*

Przykłady można mnożyć. Już z tych krótkich, lakonicznych zdań rodzi się gielda, na której liczy się wszystko: wiek, wykształcenie, szczupłość,

włożyć. Inne to nawet rozumiały, ale nie miały z czego wkładać. W zasadzie więc rozwijały się tylko te przedsiębiorstwa, które podlegały Prezydium WRN, chociaż i tu nie zawsze w tempie, jakie chciałoby się widzieć.

Krucho, a czasem źle bywało z zaopatrzeniem w surowce. Przydziały były nieregularne, z zasady surowce gorszej jakości, terminy dostaw raczej przypadkowe. Stąd brak rytmiczności w produkcji, znaczne różnice pomiędzy modelami czy serią informacyjną a produkcją seryjną. I wiele innych dolegliwości, które wychodziły bokiem zarówno pracownikom przemysłu terenowego jak i jego produkcji.

Trzeba przyznać, że mimo to przemysł terenowy rozwijał się. Rostała wartość jego produkcji, zwiększał się jej asortyment. To ostatnie zjawisko można zresztą różnie interpretować. Różnorodność produkcji była tak wielka, że gdyby każdy z dyrektorów Zjednoczenia był dwukrotnym magistrem inżynierem, a dyrektor naczelny nawet docentem habilitowanym — wszystkie te specjalności razem nie wystarczyłyby, aby fachowo nadzorować produkcję. To oczywiście, powodowało określone konsekwencje jeżeli chodzi o jakość, nowoczesność czy organizację produkcji. Nic więc dziwnego, że np. w latach 1965—1971 przemysł terenowy wykazał znacznie mniejszą dynamikę produkcji — prawie o jedną trzecią — niż przemysł kluczowy lub spółdzielczość.

W tej sytuacji dokonano w 1972 r. pierwszej, częściowej reorganizacji przemysłu terenowego. Kilka największych przedsiębiorstw — np. Łukowskie Zakłady Obuwia, Międzyrzeckie Zakłady Metalowe czy hutę szkła Dąbrowa — przekazano do przemysłu kluczowego. Wartość produkcji przekazanych jednostek wynosiła łącznie około miliarda złotych. Pozostałe przedsiębiorstwa, które produkowały towary i świadczyły usługi o łącznej wartości

dwóch miliardów złotych, w związku z likwidacją Komitetu Drobnej Wytórczości, przekazano w gestię Ministerstwa Handlu Wewnętrznego.

Ta częściowa reforma przyniosła tylko częściowe efekty. Poważnie zyskały przedsiębiorstwa przekazane do przemysłu kluczowego. Polepszyło się zaopatrzenie, znalazły się pieniądze na poważne inwestycje modernizacyjne czy rozbudowę (np. w Łukowskich Zakładach Obuwia czy Międzyrzeckich Zakładach Metalowych), polepszyła się jakość produkcji. Natomiast resortowi handlu wewnętrznego przybyły kłopoty, z którymi nie bardzo umiał sobie poradzić. Miał przecież fachowców od hardlu, nie miał od bardzo różnorodnego przemysłu. Był odbiorcą gotowych produktów, teraz musiał starać się o zaopatrzenie setek — licząc cały kraj — zakładów o bardzo różnorodnym profilu produkcji. Ponadto sam minister znalazł się w bardzo dziwnej sytuacji, gdy jako szef handlu musiał nakazać wycofanie z handlu produktu złej jakości, wyprodukowanego przez fabrykę, właśnie jemu podległą...

Tak więc zapadła decyzja o przeprowadzeniu reformy do końca, to znaczy o przekazaniu wszystkich przedsiębiorstw przemysłu terenowego do przemysłu państwowego, bądź spółdzielczości (w przypadku spółdzielczości nie ma mowy o przekazaniu, ale o sprzedaniu — lecz to już inne zagadnienie, nad którego rozwiązaniem jeszcze głowią się ekonomiści). Jednocześnie automatycznie przecięte zostały ewentualne spory pomiędzy nowymi województwami. Chodziłoby tu o wpłaty zysków do budżetu, a mianowicie któremu województwu wpłacać: temu, w którym znajdowało się zjednoczenie, temu, na którego terenie znajdowało się kierownictwo przedsiębiorstwa, czy też temu, na którego terenie pracował dany zakład.

Tak więc druga faza reformy przemysłu terenowego objęła 25 przedsiębiorstw, których wartość produkcji i usług przekraczała 2,3 miliarda złotych. Ta poważna suma stanowiła jednak tylko niecałe cztery procent wartości produkcji całego przemysłu dawnego województwa lubelskiego. Trzeba jednak dodać, że półtora miliarda dawały tylko dwa przedsiębiorstwa — Gracja i Lubgal.

Większe przedsiębiorstwa przejęły krajowe zjednoczenia branżowe, skupiające zakłady podobnego typu z całej Polski. Tak więc Grację przejęło Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego w Łodzi, Lubgal — Zjednoczenie Przemysłu Dziewiarskiego i Pończoszniczego także w Łodzi, biłgorajską Bitrę — to samo Zjednoczenie, a Luzamet znalazł się w Zjednoczeniu Zaplecza Gospodarki Komunalnej w Poznaniu. Kombinat w Milejowie wzbogaciły przetwórnictwo owocowo-warzywne w Osmolicach, Kluczkowicach, Terespolu i Stoczku Łukowskim. W ramach Krajowego Związku Spółdzielni Produkcyjno-Kooperacyjnych znalazły się Chełmskie i Kraśnickie Przedsiębiorstwa Przemysłu Terenowego. Opolskie PPT weszło w skład nowo powstałej Wojewódzkiej Spółdzielni Usługowej itd. Znany wśród samochodziarzy zakład tapicerki samochodowej został wchłonięty przez lubelską Fabrykę Samochodów Ciężarowych, dla której i tak przeznaczal poważną część swoich usług.

Wszyscy pracownicy przekazywanych przedsiębiorstw zachowują swoje dotychczasowe miejsca pracy, część z nich będzie nawet awansowała jeżeli chodzi o wysokość pobrań, bo np. często kierownik wydziału w dużej fabryce ma większe uposażenie niż dyrektor małego przedsiębiorstwa. Może tylko niektórzy będą żalowali tytułu, ale przecież droga do nowego jest przed nimi otwarta. Tak samo zyska większość pracowników fizycznych. Np. we wspomnianym zakładzie tapicerskim wynagrodzenie za go-

dzinę wynosiło do 14,90 zł, w ramach PSC może wzrosnąć do 22 zł — wysoko zależy od prawdziwych kwalifikacji. A wiadomo już teraz, że ów zakład tapicerski otrzyma nową halę produkcyjną, dzięki czemu wartość jego produkcji wzrośnie pięciokrotnie, a warunki pracy i socjalno-oytowe w porównaniu z nędznym losem przy Trasie W-Z ulegną radykalnej zmianie. To samo czeka wiele innych przekazanych obecnie zakładów.

Istnieje tylko jedno niebezpieczeństwo: że zjednoczenia przemysłu kluczowego nie będą zbyt zainteresowane podtrzymywaniem usług dla ludności świadczonych dotychczas przez zakłady przemysłu terenowego. Po prostu produkcja jest bardziej opłacalna, co dawało się odczuć i poprzednio: przemysł terenowy, jeśli tylko mógł, to od usług uciekał. W tym roku obowiązują jeszcze plany zatwierdzone poprzednio w ramach WZPPPT, ale za rok, dwa? W tej sytuacji cały wzrost zakresu usług musi przejść spółdzielczość pracy, a przede wszystkim nowo powstała Wojewódzka Spółdzielnia Usługowa. I tego trzeba dopilnować.

Pisząc dosyć szczegółowo o całej sprawie chciałem pokazać, dlaczego i jak porządkujemy jeszcze jedną dziedzinę naszego życia. Jesteśmy wszyscy trochę tradycjonalistami i nie entuzjastujemy się zmianami. Wszystko jednak wskazuje, że reorganizacja przemysłu terenowego pozwoli na wyzwolenie dalszych rezerw, na polepszenie jakości i zwiększenie produkcji, na szybszą modernizację i zwiększenie jego potencjału technicznego. Nie bez znaczenia jest także niby drobny, ale charakterystyczny fakt: zlikwidowano już dwadzieścia jeden pieczętek, które naliczyłem na biurku sekretarki dyrekcji WZPPPT i przeniesiono w bardziej użyteczne miejsce pięć telefonów, umieszczonych na sąsiednim stoliku...

## Żonę?

otyłość, zobowiązania, majątek, kolor włosów, miejsce zamieszkania, stan zdrowia, zamilowania, nalogi, a często i narodowość. Zdarza się, że młode, ładne i wykształcone Polki, śniąc o księżcu i luksusowym życiu, oferują swoje wdzięki panom zza granicy. Niestety jednak, jak pokazuje życie, wychodzą za mąż często za bogatych staruszków, którzy potrzebują młodych, pracowitych, dobrych opiekunek. Spory odsetek ofert składają mieszkańcy Szwecji i USA. Niekiedy tylko zdarzy się jakiś Szwajcar, Jugosłowianin lub Francuz. Są to w większości panowie polskiego pochodzenia, którzy zażyczyli sobie krajankami. Wymagają od zgłaszających się przede wszystkim urody a czasami wykształcenia. Do nielicznych należą Polki, obywatelki innych krajów, pragnące poślubić rodaka.

Oto przykład typowej oferty zagranicznej: *Polak, obywatel USA, mgr inż. pragnie nawiązać kontakt z panią o miłej i ciekawej powierzchowności, najchętniej z wyższym wykształceniem lub kończącą studia w wieku do 24 lat. Matężństwo po bliższym poznaniu niewykluczone. Fotooferty.*

Ponieważ ofert jest dużo, a ich teksty są banalne, niektórzy chcą nadać im inną, ciekawszą formę i treść, które gwarantowałyby zainteresowanie czytelników. Zdarza się, że odpowiednio sformułowany tekst pozwala na zwrócenie uwagi kogoś, kto nigdy nie szuka partnera z ogłoszenia prasowego. Wśród tych można wyodrębnić pewne schematy:

Młodzieżowo: *Chłopak, lat 24, wzrost 185, o pozytywnym wyglądzie, jednakże z trudnym charakterem, pozna dziewczynę z temperamentem.*

Fantazjynie: *Która z pań: inteligentnych, bezdzietnych i samotnych, do lat 38, napisze do najgorszego z najgorszych. Proszę o szczerze fotooferty.*

Na litość: *Która z miłych pań przelamie nieśmiałość i uwierzy w dyskrecję, oczekuje ją 44-letni kawaler.*

Choć instytucje biur i ogłoszeń matrymonialnych są, jak widać, bardzo popularne i użyteczne, nie dajmy się zwariować. Nie samym matężństwem z dobrze sytuowanym panem czy panią życie stoi. A na razie radzę codziennie, najlepiej z rana, śpiewać razem z Danusią Rinn — „Kto ma tyle wdzięku co ja, no kto ma?”.

Bożena Siedlecka

Mikołaj Niekrasow

### ŚLUB

*Wchodzę o zmierzchu do cerkwi. Pustawo,  
Świecą tu lampki, żałośnie, skąpawo.  
Ciemne są kąty świątyni przestronnej;  
Okna podłużne w mgle toną bezwonnej,  
To znów się żarzą przelotnym iskrzeniem,  
Cicho się chwiejąc z nieśmiałym brzęczeniem.  
Mrok pod kopułą tak gęsty się snuje,  
Że, gdy tam spojrzeć, zimny dreszcz przejmuje!  
Płyty kamienne i półciemne mury  
Sieją wilgocią: zawiasy u góry  
Drzwi podtrzymują, jakby zalawione...  
Nie ma już wiernych, nieszpory skończone. —*

*Ślub. Nowe życie dwu ludzi znachodzi.  
Tuż przed ołtarzem stoją państwo młodzi:  
Młodzian-rzemieślnik, frant to z każdej strony!  
Twarz ma rumianą i kark podgolony —  
Widać, że życie lekko sobie ceni!  
Obok — dziewczyna. Tak wielkie cierpienie  
Na bladej twarzy, że patrzeć niemilo...  
Biedna kobieto! Cóż was połączyło?  
Widzę, figura twoja jest pełniejsza,  
Niżli... Rozumiem! Twój wstyd się nie zmniejsza!  
I, pochylona, swoją długą chustę  
Na stan naciągasz... Serce twoje puste  
Zabrał, niecnota, pieszczotą czy darem,  
Maską na twarzy, piosenką, gitarą?  
I tyś mu serce spragnione oddała...  
A ileś potem nocy nie przespala!  
Ileś płakała!... Lecz sprawy nielatwej  
Wolą, niewolą chłopak nie zagmatwał;  
Bóg miłosierny — tyś uratowana...  
Czemuś więc smutna, bez miary znękana?*

*Czeka cię wiele bezlitosnych sporów,  
Dni pełnych pracy, samotnych wieczorów:  
Będiesz kotłować chorego dzieciaka,  
Czekać, aż wróci do domu hulaka,  
Płakać, pracować i myśleć nieśmiało  
Co młode życie tobie rokowało,  
Czym obdarzyło, czy przetnie ciemności...  
Biedna! Za bardzo nie ufaj przyszłości!*

1855

Przełożył: Andrzej Cesarz

## GARMONDEM

Rozmowę na temat poprawy jakości pracy warto zacząć od własnej branży. „Kurier Lubelski” (27 I br.) donosi z Zamościa: „Dwa razy w ciągu dnia trenują piłkarze Hetmana, przygotowując się do sezonu wiosennego... W drugiej połowie lutego br. przewidywane jest zgrupowanie w Myczkowicach”. Ciekawe, kiedy piłkarze grającego w klasie międzywojewódzkiej Hetmana mają czas na udawanie, że pracują lub że się uczą, skoro muszą trenować dwa razy dziennie? A jeszcze do tego zgrupowanie w Myczkowicach. Wiadomo, że „zawód” piłkarza jest trudny, ale żeby aż tak! Chyba iż adiustatorzy przeglądają „Kurier” jedynie dwa razy w ciągu tygodnia? I następny „kwiatek”. Pani Halina Lukawska, przez lubelskiego oddział Stowarzyszenia Stenografów i Maszynistek w Polsce, udzieliła wywiadu „Sztandarowi Ludu” (też z 27 I br.). „Zawód maszynistki nie należy do najbardziej ciekawych czy — szczególnie intratnych” — powiada pani prezes. Ale zaraz dalej: „Zawód maszynistki ma jak najlepszą przyszłość. Na tę optymistyczną ocenę składają się ostatnie zmiany w wynagrodzeniu oraz fakt, że jest to praca rzeczywiście ciekawa”. Zawód dziennikarza również jest rzeczywiście ciekawy, i średnio intratny. Do obowiązków dziennikarskich należy uzgadnianie z rozmówcą jego własnych poglądów w przypadkach szczególnie ciężkich.

pom

**L**EZALEM właśnie w łóżku, zastanawiając się, jak by się tu odmienił, chwyciłem wiatr w żagle, kiedy nagle pomoc, głos, wezwanie przyszło z zewnątrz. Ktoś zastukał delikatnie, jakby pukał do domu lalek. Czy się przypadkiem nie przesłyszałem?

— Kto tam? — wrzasnąłem jakby w odpowiedzi na walenie pięścią w drzwi.

— Ja — utożsamiał się jakiś nieznajomy a tak słodki głosik, który natychmiast woskowinę w uszach przemienił mi w miód.

Następnie weszła jakaś panienczka, przed którą nagle zawstydzilem się. Zawstydzilem się tego, z czego najbardziej byłem dumny — własnej męskości.

— Pan mnie sobie przypomina — dziewczyna zapewne chciała zapytać, ale wypowiedź zabrzmiała jakby twierdząco. Nie przypominałem jej sobie, ale skoro ona sama tak twierdzi, nie chciałem zaprzeczać. Udałem więc, że znam ją od dziecka.

— Musi mi pan pomóc — powiedziała. — Mój brat przejechał chłopca. Straszny wypadek.

Dziewczyna opowiadała mi o tym ze łzami w oczach. Żałowała nie tylko ofiary wypadku, ale i jego sprawcy. Sęk w tym, że to już drugi wypadek w jego śmiertelnym życiu.

— Dobrze, ale co ja mogę zrobić? — spytałem. Nie przypominałem sobie, żebym był świadkiem tego wypadku.

— Jaki? — Dziewczyna była naprawdę zdumiona. — Przecież pan mi obiecał. Dziesięć razy pan mi powtarzał, że kiedyś, kiedy będę czegoś potrzebowała, mam się zwrócić do pana, a pan mi pomoże.

Teraz sobie nagle wszystko przypominałem i zrobiło mi się bardzo paskudnie na sercu. Parę lat temu miałem takiego kumpla — Panie świeć nad jego duszą — ale to był straszny mitoman. Poznałem go w salonach Bałałajdarki, to już powinno wam powiedzieć wszystko. Wpierw udawał studenta, choć ledwo uporał się z zawódówką. Potem wyskoczył w plener, do jednej takiej rybackiej wioski i tam zaczął udawać dziennikarza. Mnie nic innego nie pozostało do roboty jak też udawać dziennikarza choć, mówię wam, nie miałem wtedy na to najmniejszej ochoty.

Przede wszystkim nie byłem przygotowany aż na taki bluff. Do studentstwa byłem już przygotowany, bo za rok miałem zdawać maturę — na dziennikarza jednak byłem za smarkaty. Cóż jednak było zrobić — należało zostać na parę godzin dziennikarzem.

Rybacki nie chciał mieć nic do czynienia z takimi dziennikarzami jak my, ale wódki z nami pili. Po każdym kieliszku rybacy stawali się coraz bardziej rybakami, a my coraz mniej dziennikarzami. Zamiast zbierać wywiady, sami udzielaliśmy je tym milkiwym partnerom. Wreszcie zaczęliśmy im obiecywać różne chody w województwie, co ich też zbyt nie zachwycało, bo onj wypływali szerzej poza województwo — w morze, w świat.

Przy okazji obiecywaliśmy również różne plecy kelnerce, która nam usługiwała, a która zjawiała się teraz u mnie. Była w naszym wieku, więc wierzyła równym sobie smarkaczom, a ja teraz musiałem ponosić tego konsekwencje.

Razem z kumplem prosto z tamtej wioski mieliśmy zamiar udać się w Bieszczady. Z publikacji prasowych wiedzieliśmy, że niedźwiedzie atakują tam krowy, żrą je żywcem zaczynając od wymienia, potem dobierają się do pośladków i wreszcie kończą ucztę na sercu. W niedźwiedziach najbardziej obrzydliwe było to, że pożerają ofiarę żywcem — dlatego postanowiliśmy zostać łowcami niedźwiedzi. Krowa krzycząc wzywa pomocy, ale bez fuzji nic nie zrobisz, bo niedźwiedź nigdy nie ucieka, najwyżej odchodzi bardzo powoli jakby kpiąc z człowieka. Czasami wprawdzie odchodzi na dźwięk głosu, ale najczęściej człowiek musi przed nim uciekać. Jeden samiec przez dziesięć lat zżarł podobno dwadzieścia sztuk bydła. Najgorsze jednak było dla nas to, że pozwolenie na odstrzał niedźwiedzia daje sama Warszawa.

Jak z tego wynika, o niedźwiedziach bieszczadzkich wiedzieliśmy już bardzo dużo. Nasze zamierzenia wakacyjne były podbudowane naukowo. Sporo wiedzieliśmy też o wilkach, choć może trochę mniej niż o niedźwiedziach. Wilk podobno brzuch ma ciężki, ale w nogach jest lekki — nikt go nie złapie. W łapach jest smukły jak cięć, ale w karku silny niczym byk.

Poświęciliśmy przedzierać się w Bieszczady tak jak komandosi — bez niczyjej pomocy. W ten sposób w czasie wojny jeden z moich wujków przedzierał się przez trzy zielone granice do polskiego wojska.

Wydawało się nam, że w parę dni po ucieczce z domu ukąszą się w gazetach listy gończe, wszyscy będą nas ścigać. Zbiegowie mają na tym punkcie lekkiego hyzia.

Porywały nas te Bieszczady, a szczególnie nieuchwytny niedźwiedź nazywany Muchą, ten od dwudziestu krów. Niedźwiedź ten odziedziczył przewisko po słynnych zbójnikach. Wpierw jeden ataman Mucha działał w osiemnastym wieku za panowania króla Poniatowskiego. Potem pojawił się drugi Mucha po pierwszej wojnie światowej. W czasie drugiej wojny wielu partyzantów oberało sobie taki pseudonim. Teraz grasował tam groźny niedźwiedź Mucha, którego postanowiliśmy ująć.

O tym wszystkim opowiadał nam student, którego wyzucano ze studiów, a który ma zamiar organizować Studencki Ośrodek Wczasów Konnych w Bieszczadach. Pozналиśmy go poprzez Bałałajdarkę która wtedy właśnie zrezygnowała ostatecznie z nauki szkolnej. Romanizm jego okazał się taki antytyrycerski, ale samymi Bieszczadami dobrze nam głowę otumanili.

słafacji. Po co macie nam tu pływać w obłokach? Może nawet nie jesteście studentami, ale studentstwo to jest zawód nieodwoływalny i wieczysty, można nim być zawsze. Przestańcie nam tu pływać w obłokach. Patrzenie ich, wielkie cwaniaki ze Szczecina.

W ten to sposób zostaliśmy stąd niemal przegnani i tylko jedna kelnereczka nas żalowała, bo już wymienialiśmy swoje adresy i mieliśmy zamiar pisywać do siebie. Jako pseudodziennikarze mieliśmy w planach warsztatowych jedynie listy do panny.

Zresztą i ta kelnereczka nie była prawdziwą kelnerką, tylko córką pani bufetowej i jej pomocnicą za bufetem. Można powiedzieć, że była takim samym handlowcem jak my panami redaktorami.

# Kelnereczka

Janusz Olczak

— Poważna sprawa — mówię teraz, uważając ją za rzeczywiście poważną. Nie widziałem wyjścia.

— Ja niczego od pana nie chcę — mówiła — Niech mi pan tylko poda adres jakiegoś dobrego adwokata.

To mogłem zrobić. Znałem z opowieści jednego takiego obrotnego faceta z jeszcze bardziej obrotnym językiem. Ten może pomóc, ale brat i tak z piątki nie wylezie.

Nie wiem dlaczego zrobiło mi się żal tego szofera. Może to było związane z reminiscencją wspomnień rodzinnych? Moja matka po wojnie też jako smarkata dziewczyna zaczęła pracę w tramwajach i przejechała pijanego faceta, który jakby na siłę wpakował się pod koła.

Może brat tej dziewczyny jest równie niewinny? W każdym bądź razie zobowiązany byłem jej pomóc, bo sam się kiedyś z tą pomocą narzucałem.

Po wielu bieżaninach i konsultacjach z różnymi kumplami załatwiłem jej najlepszego adwokata. Facet miał mordę jak harmonia rozciągliwą — to było widać już po wstępnych pertraktacjach finansowych. Spojrzniecie miał bardzo awanturnicze, tak że odnosiło się wrażenie, jakby wszystkie paragrafy kodeksu wykuł w celi w czasie jakiegoś długiego wyroku.

Facet nie przypadł mi do gustu już od pierwszego spojrzenia, ale paniuszka była mi za to wszystko niezwykle wdzięczna.

I na tym się na razie wszystko skończyło. Niby nie wielkiego nie zrobiłem, a jednak od tego momentu zacząłem sam o sobie myśleć inaczej. Oto pomagam innym, a sam sobie tylko szkodzę. Czas się odmienić.

Oczywiście człowiek nie odmienia się tak z godziny na godzinę, ale koleżkowie obchodzili mnie coraz mniej. Ostatecznie doprowadziliby mnie do tego, że sam potrzebowałbym adwokata, a oni wtedy oczywiście poleciliby mi najlepszego szczekacza, mając mnie w zasadzie w nosie.

Ta dziewczyna pomogła mi wiele swoim zaufaniem. To nie, że cała sprawa miała prądrość w smarkatej bufonadzie. Przekonałem się naocznie, że słowa nasze mają swoje dalsze ciągi jak kryminał w gazecie. Pewne rzeczy zacząłem sobie nawet z tego powodu zapisywać.

Z moją panienczką kontynuowaliśmy w tzw. międzyczasie przerwana poprzednio po jednym liście korespondencję. Listownie towarzyszyłem jej ostatnim miesiącom w szkole średniej, a potem doradzałem w wyborze odpowiedniego kierunku studiów.

Jesienią nie musieliśmy już pisać do siebie, bo zamieszkałymi w tym samym mieście. Oczywiście jest, że to, co było potem, nie wymaga już zbytniej pisaniny.

Fragment przygotowywanej do druku powieści p. t. „Podanie dziadka”



Rys. E. Ingłot

Myślę, że przez te właśnie marzenia oblałem potem maturę.

W ten to prosty sposób po krótkiej dziennikarskiej wizycie w wiosce rybackiej zamierzaliśmy udać się w Bieszczady jako łowcy dzikiej zwierzyny. Zwierzyliśmy się ze swoich planów naszym gospodarzom, a wtedy jeden z nich powiedział:

— Panowie studenci czy dziennikarze, ale raczej studenci, choć może studenci dziennikarstwa, po co macie jechać tak daleko, skoro parę kilometrów stąd jest obóz studencki. Jedźcie sobie tam na ten obóz, studenci do studentów, po co nam tu głowę zawracacie! Dosyć już nam tutaj nabajerowaliście. Takich dziennikarzy to jeszcze świat nie widział. Słowem przestańcie nam między. Prawdy w waszych kłamstwach jest bardzo mało. Od początku wiedzieliśmy, że nie jesteście dziennikarzami, ale nie chcieliśmy wam odbierać tej saty-

mieliśmy nocleg na parę dni zapewniony przez samego kierownika, który miał tu prawdziwe urwanie głowy, bowiem wymieszanie wszystkich ras i kultur dokonywało się w jednym polskim kotle. Doprawdy udawaliśmy studentów aż do tego stopnia, że zabieraliśmy głos w wielce uczonych gadkach. Za takie przemądzałe wypowiedzi spodziewałem się co najmniej piątki z polskiego.

Było upalnie, więc udawałem narciarza.

— Szkoda, że jest lato, pokazałbym wam jak się jeździ na nartach — mądrzyłem się przed nowymi kolegami, dzięki czemu wplątałem się w wąskie towarzystwo obozowych rozrabiaków, wcale nie Amerykanów, ale spokojnych z pozoru Francuzów.

Franeja — powtarzałem w myślach swoje wiadomości geograficzne — pięćdziesiąt milionów miesz-



**E**DWARD Zbigniew Zienkowski z Lublina otrzymał I nagrodę na niedawnym konkursie im. Feliksa Mendelssohna w Berlinie Zach., w którym uczestniczyło 14 młodych skrzypków z różnych krajów. Ta I nagroda była nagrodą jedyną, regulaminem prestiżowego konkursu nie przewiduje innych premii.

Konkurs, jak się rzekło, ma charakter prestiżowy. Ceni się go wyżej od podobnej imprezy w Monachium, w której zresztą Zienkowski brał udział wcześniej, w 1972 roku, otrzymując nagrodę radia i telewizji bawarskiej.

Po ogłoszeniu werdyktu jury, do skrzypka z Lublina podszedł pewien pan, który okazał się impresariem zza oceanu. „Czy mister nie chciałby występować w Stanach Zjednoczonych Ameryki?”

Najbardziej przebież sympatyczne okazało się „podejście” innego pana, który okazał się wnukiem Feliksa Mendelssohna. „Nie gram co prawda na żadnym instrumencie, ale potrafię docenić Pana grę... Proszę przyjęć serdeczne gratulacje”.

Po Berlinie Zach. Zienkowski stał się artystą znanym w szerszych kręgach naszej publiczności, do czego przyczyniła się prasa, szybko i ciepło informująca o sukcesie lublinianina. Znajdą się więc zapewne ludzie, którzy przy tej okazji zanużą starą śpiewkę na temat niemożności bycia prorokiem we własnym kraju... Tylko zagranicą nobilituje artystę, bo u nas — zgodnie z piekielnymi regułami — wybitniejsze indywidualności ściągają się za nogi

na dno kociołka. Tymczasem prawda jest taka, że Zienkowski jeszcze jako uczeń lubelskiego liceum muzycznego koncertował z orkiestrą filharmonii w Koszalinie, Lublinie, Rzeszowie i Katowicach, w tym ostatnim mieście występując z Wielką Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia i Telewizji pod batutą Bohdana Wodiczki.

Inna sprawa, że wspomniane „reguły gry piekielnej” są jeszcze dość często w użyciu. Przykładem niech będzie polskie szkolnictwo muzyczne, którego struktura bywa mocno atakowana przez spektatorów krajowych, wzbudzając równocześnie wielkie uznanie i zainteresowanie za granicą. Tęzę dowodem przyjęcie referatu prof. Zenona Brzewskiego z Warszawy na seminarium towarzyszącym międzynarodowemu konkursowi skrzypcowemu w Glasgow (1975). Znany pedagog przedstawił w Szkocji polski system edukacji muzycznej, który uznano za tyle racjonalny, co znakomity. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że w jury tego konkursu zasiadali tej miary artyści i pedagodzy. Jak Jehuda Menuhin, Karlo van Neste z Brukseli, Max Rostal ze Szwajcarii i Ida Haendel, która mieszka dziś w Montrealu, lecz urodziła się w Chelmie i w 1935 roku brała udział w pierwszym konkursie im. Wieniawskiego w Warszawie.

Do Berlina Zach. trafił Zienkowski z Hanoweru, gdzie od początku 1975 roku kształcił się pod kierunkiem Andree Gertlera, świetnego skrzypka węgierskiego, który równocześnie wykłada w konserwatorium brukselskim i od lat jest głównym wykładowcą na seminarium skrzypcowym im. Beli Bartoka w Budapeszcie.

Tam właśnie, nad Dunajem, Zienkowski zetknął się z nim po raz pierwszy, od razu zwracając uwagę tego wybitnego przedstawiciela „szkoły franko-belgijskiej”, który sprowadził ostatecznie lublinianina

do Hanoweru, zapewniając mu stypendium. Zienkowski kończył właśnie studia u prof. Hermana w PWSM w Gdańsku...

Można mieć wielki talent i nigdy nie uzyskać większego uznania wśród publiczności. Można mieć skrzypce z firmowym znakiem „Stradivarius” „Guarneri”, „Amati”, „Klotz”, „Pruższak”, „Panufnik”... Można mieć instrument od braci Uhle z Puław, smyczki z ciemnego drewna pher-

dużeniem edukacji w szkole Oskara Ruppla — stwierdził skrzypek. „Już najmłodszych uczniów skłaniałem do samodzielnego opracowywania koncepcji utworu, co oczywiście nie ma nic wspólnego z zachęcaniem do wykroczenia poza stylistyczny charakter dzieła. Wydobytam to, co w uczniu indywidualne, staram się, aby myślał on swobodnie, nie — doktrynalnie... Zbyszek ma wielką swobodę technicz-

konserwatorium kraju wrócił do Lublina lat później. Na dalsze studia, trafił do słynniejszego świata — Europy. Po powrocie roku, dyrektor im. Elmera w wal mu objeżdża. Niedługo lat

# LUBELSKIE

nambuk, podstawki z platynu, wzorowane na amerykańskich, tłumiki Rychtera z Warszawy... Można grać smyczkami z włosiem naturalnym, sztucznym i metalowym... Można mieć naturalne predyspozycje, dar pracowitości i sprzęt doskonały, lecz to całe dobrodziejstwo inwentarza okaże się niczym, jeśli nie ma się dobrego nauczyciela.

W wypowiedziach dla prasy Zbigniew Zienkowski stale podkreślał, że bodaj najwięcej zawdzięcza człowiekowi, z którym zetknął się w wieku dziecięcym, mając pięć i pół roku, a później przez trzynastą lat pozostawał pod jego dyktando opieką, doskonałą technikę szkoły „franko-belgijskiej”. Pobyt u profesora Gertlera jest w istocie prze-

żądający równowagi, a konserwatorium w dalszym występował w zagranicę w Niemczech, i we Francji (Koncert Paderbura) na estradzie cych nad Seki pianinie w tr wokół fortepianu.

W 1937 roku do Warszawy, daktyczną w m łowicza, gdzie nie Dubickiej, zdecydował się do Pińska, tamtejszej szk wości solowych ny przelotczy nitarnego tego

# ŚPIEW I TANIEC

**N**A fali wspomnień — to tytuł estradowego programu w lubelskiej kawiarni „Kalina”, przygotowanego z okazji 45-lecia pracy scenicznej Xenii Grey. Bo nasza znakomita diva operetkowa uprawiała również ożywioną działalność estradową, występując w kabaretach i rewiach. Przypomnijmy choćby lubelskiego „Czarta”, w którym śpiewała wiele triumfów. To zamilowanie do form estradowych ujawniło się jeszcze przed wojną, kiedy to Xenia Grey — już jako gwiazda operetki — brała udział w wielu imprezach estradowych na różnych scenach Polski, m. in. w lubelskim kinie „Apollo”. Zaraz po wyzwoleniu występowała z Ludwikiem Solskim w halach fabrycznych Wrocławia, po czym objechała z imprezami estradowymi wszystkie miasta na Ziemiach Odzyskanych, by w 1948 roku stać się organizatorką i pierwszą gwiazdą operetki objazdowej, która miała swą siedzibę w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej.

— A jaki program ma Pani impreza jubileuszowa? — pytam Xenie Grey.

— Przypominam publiczności wszystkie szlaggerowe numery z mojej scenicznej kariery. Ale nie w jakimś uroczystym recitalu, lecz na wesole. Koledzy: Paweł Wojteczak, Krzysztof Krukowiecki, Ryszard Zarewicz — i dusza całego przedsięwzięcia — Tytus Wilski plotkują na mój temat, ile się da, a ja odpowiadam im piosenką i tańcem.

— Miłośnicy lekkiej muzy zobaczą Panią również na scenie Teatru Muzycznego podczas jubileuszowego przedstawienia operetki Zeller „Sztęgar”. W której gra Pani rolę dyrektorki, niegdyś kreowaną przez Lucynę Messal.

— Postaram się być dostojną jubilatką, choć nie bardzo wierzę, czy mi się to uda.

— Wieść gminna głosi, że jak przystało gwiazdzie, spada Pani na scenę polską wprost z Alaski.

— Wprost na scenę — to lekka przesada. Urodziłam się wprawdzie na Alasce i edukację przechodziłam w Kanadzie, ucząc się od dziecka muzyki i śpiewu i marząc o karierze śpiewaczki, ale solidne wykształcenie muzyczne zdobywałam już tu, w kraju, gdy przyjechałam z rodzicami jako 15-letnia dziewczyna. Byłam uczennicą klasy śpiewu Konserwatorium Warszawskiego, którego rektorem był Karol Szymanowski. Rodzice myśleli, że z moim sopranem koloraturowym znajdę życiowe miejsce w operze. Tymczasem na popisie (orkiestrą dyrygował Grzegorz Fitelberg, a reżyserował Aleksander

Zelwerowicz — śpiewałam wówczas partię Roziny z „Cyrulika Sewilskiego” i Aliny z opery „Goplana” Zeleńskiego) znalazł się Zdzisław Górczyński. Stwierdził, że mam nie tylko dobry głos, ale temperament, który znakomicie zablęśnie w operetce. Zapropnował mi engagement w Warszawskiej Operetce przy Nowym Świecie... I od razu tytułową rolę w „Księżnej Chicago” Kalmana. Tak dalece zaimponowała mi ta główna rola, że zgodziłam się bez namysłu. I tak



Xenia Grey

skończyły się marzenia o operze, a zaczęła 45-letnia kariera operetkowa.

— I udała się ta kariera!

— Widocznie tak, skoro od tamtego czasu zaczęła się moja wędrówka po wszystkich scenach operetkowych w kraju. Śpiewałam w Teatrze Wielkim w Poznaniu, w poznańskiej operetce, w Bydgoszczy, Wilnie i oczywiście przez wiele lat w Warszawie. Potem była jeszcze operetka gliwicka i wreszcie kilkunastoletni pobyt w Lublinie.

— A Pani ulubione operetki i role?

— Trzeba długo wymieniać. I „Fiołek z Montmartre'u”, „Księżniczka Cyrkówka”, „Frasquita”, „Carewicz”, a zwłaszcza „Wesoła wdówka”, i „Bal w Savoyu”, „Wiktorii i jej huza”, i wiele innych. Właściwie lubię każdą dobrą rolę — każda mnie pasjonuje, jeżeli tylko mam odpowiedniego partnera.

— Jak u Pani było z tymi partnerami?

— Miałam do nich szczęście. Grałam z najlepszymi aktorami polskiej sceny operetkowej: z Józkiem Redą, Wojciechem Ruszkowskim, Władysławem Szczawińskim, Ludwikiem Semplińskim, Feliksem Szczepańskim, a po wojnie z Kazimierzem Dembowskim, Jerzym Golferem. Najbardziej jednak odpowiadał mi jako partner Wojciech Ruszkowski.

— Czy zastanawiała się Pani kiedyś nad tym, czemu zawdzięcza taką popularność?

— Owszem, niejednokrotnie. Wydaje mi się, że najważniejszą rzeczą dla aktora jest odpowiednie przygotowanie. Podobnie jak dom wznosi się na solidnych fundamentach, solidne przygotowanie aktora pozwala mu realizować coraz ambitniejsze zamierzenia. Samo magisterium sztuki, czy dyplom ukończenia Konserwatorium, to nie wszystko. Znam wiele tragedii śpiewaczek, które świetnie przygotowane pod względem wokalnym, nie sprawdziły się na scenie — brak im było temperamentu i talentów aktorskich. Moim szczęściem było to, że udało mi się znaleźć własny styl.

— A skąd takie utanczenie?

— Tego już nie wiem. Chyba taniec mam w krwi.

— Zapewne właśnie z tego wyczuła potrzebny sceny i umiejętności wcielania się w różne role, a nie tylko z doświadczenia i przygotowania fachowego, narodziły się Pani zamilowanie reżyserskie?

— Niewątpliwie tak. Ostatnio wprawdzie nie mam na to czasu, choć powinnam przekazywać młodym swoje umiejętności i doświadczenie, ale jeszcze przed kilku laty reżyserowałam wiele operetek w Lublinie, Wrocławiu, Krakowie.

— Podobno w swojej 45-letniej karierze nigdy nie spóźniła się Pani do teatru, nie opuściła żadnego przedstawienia...

— To prawda. Np. w Kaliszu podczas pierwszego aktu tak boleśnie uderzyłam się za kulisami w nogę, że w czasie przerwy lekarz pogotowia założył mi bandaż. Noga spuchła jak bania, mimo to wykonałam swój taniec, niemal na jednej nodze. Widownia do tego stopnia nie nie spostrzegła, że żądała bisów. Grałam też niejednokrotnie z wysoką temperaturą, czując się fatalnie. Swoje złe samopoczucie zostawiałam jednak za kulisami — na scenie aktor musi być uśmiechnięty, widza bowiem nie obchodzą jego prywatne sprawy.

— Pani Xeniu, na temat Pani wieku krąży prawdziwe legendy, a Pani jest wciąż młoda, pełna werwy. Może zatem zechce Pani zdradzić swoją receptę na wieczną młodość?

— Nie mam żadnej. Wydaje mi się, że do prostu tajemnica polega na tym, by mieć zawsze dobry humor, kochać to, co się robi, nikomu niczego nie zazdrościć, podchodzić do życia z radością, ale także z dużą dozą samokrytycyzmu. Rozmawiała Halina Chabros





# NEOFILOLOGIA KIERUNKIEM PRZYSZŁOŚCI

ROZMOWA Z DZIEKANEM  
WYDZIAŁU  
HUMANISTYCZNEGO  
UMCS  
DOC. DR. HAB.  
TADEUSZEM  
LOPOSKĄ

znawstwo. Ale tu chciałbym szybko dodać, że limit przyjęć na te kierunki będzie niewielki, mniej więcej po trzydziestu osób na każdy kierunek.

— Wynika z tego, że nawet po przejęciu lokalów w Wydziale Prawa i Ekonomii sytuacja nie bardzo się polepszy. Będą też zapewne kłopoty z kadrami naukowymi?

— Kłopotów lokalowych sami nie przezwyciężymy, natomiast kadrowe musimy załatwić we własnym zakresie, gdyż na zdobycie pracowników naukowych z innych ośrodków naukowych w zasadzie liczyć nie możemy. Nasze kłopoty wynikają stąd, że kierunki neofilologiczne na UMCS powstały stosunkowo niedawno. Myślę jednak, że sprawę kadry powinniśmy rozwiązać do roku 1980. Naszą zasadą musi być to, aby każdy dobry student rokujący nadzieje w pracy naukowej pozostawał u nas jako asystent, mając naturalnie otwartą drogę do kolejnych awansów. Już teraz w porozumieniu z Instytutami oraz organizacjami społecznymi sporządzamy listę najlepszych studentów lat ostatnich, którym chcemy zaproponować pracę w uczelni.

Moje słowa o otwartej drodze do awansów mają pełne pokrycie. Przewidujemy, że w latach 1976—1980 będziemy mogli udzielić 94 stypendia doktorskie, 48 habilitacyjnych, 104 urlopy naukowe, 108 stażów krajowych i ponad 90 zagranicznych. Myślę, że dzięki temu rozwiążemy całkowicie problem kadry naukowej.

Rozmawiała: Elżbieta P. Muława

— Wydział Humanistyczny UMCS istnieje już 23 lata. Może najpierw warto przypomnieć jego obecną strukturę?

— Tworzą go cztery Instytuty: Historii, Filologii Polskiej, Filologii Angielskiej oraz Filologii Rosyjskiej i Słowiańskiej, a także Zakłady Wydziałowe: Filologii Romańskiej, Filologii Germańskiej, Logopedii i Laboratorium Języków Obcych. Na studiach dziennych mamy prawie dwa tysiące studentów, na zaocznych 1300.

— Przed dziesięciu laty Wydział otrzymał nowy gmach w dzielnicy uniwersyteckiej. Wtedy wydawało się, że problemy lokalowe zostały rozwiązane na wiele lat. A jak to rzeczywiście wygląda dzisiaj?

— W założeniach nowy budynek przewidywano dla 1200—1300 studentów. Łączna powierzchnia sal wykładowych i ćwiczeniowych wynosi 1238 metrów kwadratowych. Przy stanie 3300 studentów, na jednego przypada 0,38 m kwadr. Chy-

ba więc nie muszę mówić więcej o obecnych trudnościach lokalowych, spowodowanych zresztą gwałtownym rozwojem naszej uczelni. Nic więc dziwnego, że zajęcia rozpoczynają się o godzinie 8, a kończą po 20. Wykłady w zasadzie trwają półtorej godziny, aby zyskać czas przeznaczony normalnie na przerwy. Niektóre zajęcia, np. seminaria czy wykłady monograficzne, musimy prowadzić w pomieszczeniach pracowników naukowych lub w bibliotekach zakładowych. Trudno w takich przypadkach mówić o higienie pracy umysłowej.

— Zanosz się jednak na pewną poprawę w bieżącej pięcioletce...

— Powstaje budynek dla Wydziałów Prawa i Ekonomii, które w tej chwili zajmują także część naszego gmachu. Planujemy również rozbudowę naszego przez wzniesienie części wysokościowej.

— Zrealizowanie tych planów powinno pozwolić nie tylko na polep-

szanie warunków lokalowych, ale także zmianę struktury Wydziału, o czym mówi się coraz częściej.

— Co roku zgłasza się do nas półtora tysiąca kandydatów na studia, a my możemy przyjąć niewiele ponad pięćset. Reszta, niezależnie od wyników egzaminów wstępnych, musi odejść z kwitkiem. Dzieje się tak dlatego, że kandydaci, a także ich rodzice, nie zdają sobie sprawy zarówno z ograniczonych możliwości kształcenia, ale także i zatrudnienia późniejszych absolwentów niektórych specjalności. Np. już teraz absolwenci historii i filologii polskiej mają poważne trudności w znalezieniu pracy. Chodzi więc o to, aby spopularyzować w społeczeństwie sylwetkę neofilologa. Na absolwentów germanistyki, romanistyki czy anglistyki jest duże zapotrzebowanie, zarówno w naszym rejonie jak i w całym kraju. Myślimy także o uruchomieniu nowych kierunków, jak bibliotekarstwo, archiwistyka współczesna, kulturo-

można powiedzieć, że są demokratyczne, bo dla wszystkich dostępne i przez wszystkich — w różnym stopniu — powodowane. Więc instynkt samozachowawczy każe nam respektować działalność tego lekarza, który próbuje u-

zarzucać mu sprzeniewierzenie się ideałom rozwijanym od lat dwudziestych przez „awangardę”, która — rzekomo raz na zawsze — uwolniła sztukę od funkcji propagandowych, informacyjnych, dokumentujących. Bardziej obla-

i flancują rzeźbę w miejscach ciepłych własnego ciała i obnoszą po ulicach transparenty z autoportretami... Ci chorujący na skrajny egotyzm, któremu naogół rangę pokoleniowej demonstracji i ubierają w beznadziejnie głupie komentarze „filozoficzne” — ci wszyscy zwymyślają Dudę-Gracza od prowincjonalnych starców, sługusów konserwatywnych instytucji w rodzaju oficjalnych galerii sztuki. Ci zaś, którzy z ogromną powagą „badają” strukturę przekazu artystycznego, zrezygnowawszy z moralnej oceny otaczającej ich rzeczywistości, uznają malarza za dobrodusznego prostaczka.

I wszyscy oni, zadufani, udadzą się następnie do swoich podziemnych galerii, aby we własnym gronie dalej przelewać z pustego w próżne — w całkowitej samotności, w pełnym bezpieczeństwie, które im zapewniają mury oddzielające ich od zwyczajnych spraw zwykłych ludzi.

Srodowiskowa sytuacja Dudy-Gracza jest trudna, może nawet niebezpieczna, aczkolwiek trzeba przyznać, że i wśród artystów o odmiennych poglądach znajduje on wielu sympatyków. Co się jednak stanie z autorem świetnego „portretu symbolicznego” Kazimierza Grześkowiaka właśnie teraz, po reportażu telewizyjnym, nadanym w drugim programie 15 lutego o godzinie ósmej wieczorem, którego bohaterem był Duda-Gracz?

W tymże reportażu artysta powiedział, że maluje dla publiczności, dla konkretnych ludzi, że woli, aby jego obrazy trafiły do prywatnych mieszkań zwyczajnych obywateli, którzy stanowią tzw. szary tłum, niż do muzeum. Wspomniał też, że celowo kreuje malarstwo czytelne, przemawiające do widza, podnoszące jego sprawy codzienne i oświecane, ale zawsze istniejące, realne — choćby w planie świadomości.

Reportaż był krótki, artysta powściągliwie komentował własną twórczość, zwięźle prezentował swoje poglądy. Była to przecież wypowiedź ważna, burząca misternie skonstruowaną piramidę „obowiązujących” pojęć estetycznych. Po raz pierwszy znany twórca uznał publiczność za instancję uprawnioną do oceny jego pracy! O tym, że respektowanie owych uprawnień nie jest przecież równoznaczne z prawieniem nam komplementów, a więc z czymś morderczym dla sztuki i społeczeństwa, Jerzy Duda-Gracz dowodzi swoim malarstwem. Czy z tego właśnie względu nadano ten reportaż równocześnie z transmisją z uroczystości zakończenia Olimpiady w Innsbrucku?!

# OKO -LICE SZTUKI -KI

## Duda-Gracz w telewizji

**J**ERZY Duda-Gracz jest człowiekiem spokojnym, opanowanym. Od lat maluje obrazy, w których nasza polska codzienność znajduje swoje ostre odbicie. Dziewczęta wiejskie o monstrualnie wielkich biodrach, w mini-kieckach, pasą krowki leżąc ciężko niczym góry mięsa, zakończone z jednej strony „kozakami” z komisów... Ojca rodu flankują uśmiechnięte glupkowato dzieci i tranzystory... Malarstwo Dudy-Gracza to rodzaj obyczajowego pamfletu, w którym odnajdujemy nasze schorzenia, wady, dramatyczne zjawiska wynikające z szybkości i głębokości przemian cywilizacyjnych i społecznych, będące rezultatem zmącenia świadomości, szatkowania jej przez wykluczające się wartości.

Duda-Gracz bywa w swej twórczości okrutny i szyderczy, ale treść jego obrazów nie wzbudza gwałtownego protestu, nikt nie zarzuca autorowi szargania świętości, ośmieszania ludu i narodu. Bo Duda-Gracz leczy: z głupoty, egoizmu, taniej egzaltacji, z pragnień rechołliwych i tustych. To wszystko istnieje wokół nas, dochodzi do głosu w najbardziej nieoczekiwanych miejscach i sytuacjach, żadne tytułatury i szyldy nie chronią nikogo przed inwazją owych chorób, o których



Jerzy Duda-Gracz: DWA POKOLENIA

zdrowiać pacjentów przez uświadomienie im „struktury” ich patologii. Duda-Gracz występuje ostatecznie w roli psychoanalityka. Na dodatek przemawia jasno, używa słów jednoznacznych. Nie potrzeba być fachowcem, posiadaczem wiedzy specjalistycznej, aby zrozumieć malarza. Więc to, co robi, cieszy się dużym, albo nawet wielkim zainteresowaniem.

Dla wielu orientacji sztuki współczesnej działalność katowickiego artysty jest natomiast nie do przyjęcia. Ci, którzy traktują twórczość jako sferę całkowicie niezależną od tzw. życia,

tani w teorii masowego oddziaływania zauważają z ironią, że takie funkcje pełnia dziś film, gazeta ilustrowana, fotografia. Pełnią znacznie skuteczniej, bo docierają do milionów i w zależności od potrzeby — albo wiernie, albo tendencyjnie naświetlają pewne fakty i całe fragmenty rzeczywistości. Unikalny obraz — zauważają — jest wobec nich karzełkiem, zabawą klerika, wyrazem dobrych intencji, nie ponadto.

Ci, którzy wystawiają się w witynach sklepowych, kręcą filmy o sobie samych, eksponując twarze delikwentów... Ci, którzy dekorują sobie genitalia

Maria Glen

## RZUCIŁAM

Rzuciłam niebo gwiazdom,  
by się gdzie rozgościć  
miały  
ziarna rzuciłam w ziemię,  
by bujny plon wydały.  
Serce oddałam wioskom,  
bo zawsze je kochałam,  
siebie i myśli — ludziom,  
to wszystko już, co miałam.

Zakręcie gm. Krasnystaw

# ZIEMIA I PIEŚŃ

ROK XII

MARZEC 1976

NR 24



Rzeźba Władysława Kamińskiego z Brzeźówki, woj. rzeszowskie

Fot. A. Gauda

Ignacy Antosz

## W DZIEŃ KOBIET

Pochylona nad balią, nad wiadrzem  
udoju,  
w ogrodzie, pracy w polu, przy  
żniwie i zbiorze,  
w codziennej krzątaniu dwoisz się  
i troisz,  
gdy latasz koniec z końcem aby było  
dobrze.

Pochylona nad kuchnią, gdy  
gotujesz strawę,  
zagnana po zakupy, wystawasz w  
kolejce  
za chlebem, solą, cukrem, paczką  
dobrej kawy,  
gdy przyjaciele zjadą, lub na żniwa  
żeńcy.

Wciąż przykuta do dziecka, dbasz o  
honor domu,  
by kwiaty w oknach kwitły, przy  
wejściu w podwórze...  
Jaką miarą Cię cenić dobra Matko,  
Zono?  
Jak ci dług można spłacić za tak  
wierną służbę...

Kotomierz

Władysław Kuchta

## RADOŚĆ PRACY

Pełną garścią swe szczęście  
z pracy biorę na roli;  
tak mi dobrze żyć na wsi,  
nie brak chleba, ni soli...

Praca moja, choć trudna,  
ale jakże bogata,  
tu mi słońce i zieleń  
trudy i pot osładza...

Nie narzekam na dolę,  
nie uciekam do miasta,  
wolę swoją wieś małą,  
bo w niej przyszłość jest

jasna...

Tu mi z wiosną skowronki  
swoje trele wciąż dzwonią,  
tutaj zboża przeróżne  
aż do nóg mi się klonią...

Ręką sięgam po radość,  
w kółko mam jej do woli,  
samo szczęście w krąg splaywa  
z mojej pracy na roli.

Mołodutyn woj. chełmskie

## - JAM CHŁOP, BO I PRZODKOWIE MOI BYLI PROŚCI...

Roman Rosiak

ZIEMIA kujawska przyjęła prochy kolejnego „ostatniego Mohikanina” współczesnej poezji ludowej Franciszka Becińskiego z Plichowa w województwie wrocławskim. Jeszcze nie tak dawno nazwisko jego bardzo często pojawiało się w prasie — z okazji 75 rocznicy urodzin (przed trzema laty), wydania kolejnego tomu poezji przez LSW — „Melodie ziemi”, czy wreszcie przyznania mu dorocznej Nagrody Artystycznej im. Jana Pocha, ufundowanej przez „Chłopską Drogę”. I oto pora na dokonanie skromnego bilansu dorobku ludowego poety, który tak o sobie napisał w wierszu pt. „Z powszednich dni”:

Jam chłop, bo i przodkowie moi byli prości,  
chodzili w płótniakach — chleb jadali w święta,  
nie znając odpoczynku dla strudzonych kości;  
a dostatku w chalupie nikt z nich nie pamiętał.  
Z tego są wielcy dla mnie na równi hetmanów —  
i cieszę cię, żem chłopem, a nie panem z panów!

W przesłanym 10 lat temu niżej podpisanemu obszernym życiorysie napisze poeta m. in.:

„Na wyjątkowo ubogich, bagiennej polach wyrosła moja rodzinna wieś Plichowo, tuż obok Płowic, w której żywo swój rozpocząłem w dniu 5 września 1897 roku. Kujawy są równiną. Jak okiem sięgnąć nie, tylko płaszczyzna gładka i bezleśna, monotonna, osnuta dziwnym smętkiem i zadumą, pełna nieukojonnych matyjaśnic.

Ludność wioski biedna, pracowita, lecz ogromnie ciemna i w owych czasach bardzo zobobonna. Guślarstwo, wiara w czary, świtniki, przypołudnice i zmyry, fanatyzm religijny, bogata obrzędowość zwyczajowa, nabożnie i z pietyzmem przestrzegana, dowodzą bujnej wyobraźni, pozwalającej tworzyć odręcznie nawet teksty i melodie ludowych piosenek. Nieprzebrana głębia baśni, legend, podań ludowych i przepowiadanie przeżywanymi niesamowitych przyrod pijackich, po bezdrożach i bagiennej wertepach...

Rodziny były przeważnie duże, nieraz dziesięcioosobowe i większe, gniotące się w jednej ciasnej izbie. Jedno okienko, pełno zaduchu, sypiano po czworo i więcej w jednym rodzinnym łóżku...

Podobnie było i w mojej rodzinie. Trzy morgi ziemi, siedmioro rodzeństwa, ciasna izba bez słońca...

Brak chleba. Mało kiedy byliśmy syści. Ojciec na utrzymanie dorabiał w miejscowym dworze jako fernal, a gdy mu się sprzyrzyło, chodził po sezonowych robotach. W domu było bardzo ciężko w dalszym ciągu. Gdy już miałem lat siedem, byłem na lato oddawany do pasania bydła u rodziców mojej matki w Dąbku pod Lubraniem.

Szkoły nigdzie w pobliżu wówczas nie było. Czytać i pisać nauczyła mnie matka w domu. Byłem bardzo pojętny, obdarzony wyjątkową pamięcią, posiadałem wrodzony polot naukowy. Książkę do nabożeństwa umiałem całą na pamięć. Wczytałem w okolicy wszystkie stare kalendarze i jednocześnie broszurki sensacyjne.

Czułem wielki głód czytania. Książek nigdzie nie było. We dworze i na

probostwie tylko można je było dostać — zebrało się o nie jak o chleb.

Ciągle szukałem książek i uczyłem się z zapalem dalej. Zaczęłem pisać nieudolne wiersze, nie mając wielkiego pojęcia o tym. Urzekło mnie piękno poezji: Konopnicka, Asnyk, wielcy wieszczowie gdzieś pod firmamentem nieba, Tetmajer i inni...

Zdobywając wiedzę drogą samokształcenia, Beński zaczął jednocześnie ożywić działalność społeczną w wielu organizacjach: kółku rolniczym, kole młodzieży wiejskiej „Siew”, Kasie Stefczyka, ochotniczej straży pożarnej itd. Ale przede wszystkim pisał. Zadebiutował 5 kwietnia 1927 r. na łamach „Dziennika Kujawskiego” wierszem pt. „Pogwar wiosny”. Od tego czasu jego utwory często drukowała prasa kujawska i warszawska: „Piast”, „Przełom”, „Prom”, „Posiew Poetycki”, „Ilustrowany Kurier Polski” i in.

W 1935 r. ukazał się w Poznaniu pierwszy tom jego poezji: „Maki i modraki z kujawskich równin”, zaś w 1935 r. — tom opowiadań „Smętnice ziemi”. W 1937 r. „Dziennik Kujawski” opublikował w odcinkach powieść Becińskiego pt. „Wieś na zakręcie drogi”. Do wybuchu II wojny światowej był on już autorem kilkuset publikacji — wierszy, opowiadań, artykułów (m. in. dużo publikacji antyhitlerowskich). W czasie wojny brał czynny udział w konspiracji. Od wyzwolenia aż do końca życia pozostał wierny kuźni i roli. Należał do najstarszych członków Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych i Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Urzeczona jego twórczością Wanda Szkulmowska poświęciła mu pracę

magisterską, by następnie nakładem Kujawsko-Pomorskiego Towarzystwa Kulturalnego w Bydgoszczy w 1968 r. wydać poprzedzony obszerną przedmową tomik jego wierszy „Liść z polnej gruszy”, który doczekał się recenzji Jarosława Iwaszkiewicza w „Życiu Warszawy” nr 8182 z dnia 5—7 IV 1969 r., piszącego m. in.:

„W wierszach Becińskiego najbardziej mnie porusza ich dojrzałość kulturalna, ich „normalność” jako pięknych wierszy współczesnych”.

Mimo to w 1965 r. Związek Literatów Polskich odmówił przyjęcia go w poczet swoich członków, co zniechęciło sędziwego pisarza, który dopiero w ostatnich latach życia ponownie zaczął pisać. Zdażył jeszcze wydać trzeci tomik wierszy — „Melodie ziemi”. Pozostawił nie wydaną powieść, wspomnienia, bruliony wierszy i przede wszystkim — pamięć.



Fot. W. Stepińska









czas 2552/1976/5

Jerzy Kolankowski

EPIGRAMATY I AFORYZMY

Takie jest prawo odwieczne natury — Z góry idzie się na dół, a z dołu do góry.

Istotę ludzkiego losu stanowi — konflikt. Rzecz o tyle ciekawa, że losem człowieka jest samotność.

Zdążając koleją rzeczy ku Wielkim Przeznaczeniom Człowieka, wysiada się najczęściej na podmiejskich stacyjkach losu.

Starość — młodość innych.

W młodości śmierć wydaje się czymś nie-realnym. W starości coraz bardziej nie-realnym wydaje się życie.

Władysław Piekarski

MYŚLI PRZYZIEMNE

Zgubiły go błędy, które zwalczał.

Tym lepiej, że nikt cię nie dostrzega — dalej zajdziesz.

Piękny rodzaj rezygnacji — twardo stać przy swoim.

Nie wyrzucajcie bezsensownych pomysłów: Znalazca może wprowadzić je w życie.

INNSBRUCK W TYTUŁACH

Advertisement for 'Hokejowa Inwertura' (Ice Hockey Overture) featuring Polish athletes. Text includes: 'PIERWSZY PUNKT ZDOBYTY POLSCY HOKEIŚCI W GRUPIE ASÓW PO ZWYCIĘSTWIE 7:4 NAD RIVINGTONS', 'Medal w zasięgu ręki', 'Hokejowa Inwertura w optymistycznym tonie', 'Liczę na IV miejsce', 'Forma rośnie!', 'Rysiówna dogania Young', 'Szpunar - III, Rapacz - TAK! - dla biegu'. Includes a logo for 'Złoty Kruk'.

Advertisement for 'POLACY ZA PLECAMI RYWALI' (Poles Behind the Rival's Back) featuring Polish athletes. Text includes: 'Ożywczy klimat dintojry', 'Wzięło nas na kije', 'Hamulce u sanek bialo-rzerwonnych!', 'Krok w tył', 'SHPUNAR STRZELAK - WSZYSZY ZDROWI', 'Złej passy ciąg dalszy', 'POLACY PRZODOWALI W... PUDŁACH', 'Niepowodzenia polskich biathlonistów, hokeistów i łyżwiarek szybkich', 'Pewność siebie i gorycz porażki', 'Daleko od podium', 'SZTAFFETY BIAŁONOWI', 'KOMUNY POWODY DO NARZEKAŃ', 'A DLA NAS ZNOWU CZARNA ROZPACZ', 'SZPIENNA SCENERIA, KAPITAŁA WALKI', 'Dziękuję wszystkim za udział w Porządki'.

Wycinki z pism: „Tempo”, „Sport”, „Przegląd Sportowy”, „Sztandar Młodych”, „Trybuna Ludu”, „Sztandar Ludu”, „Kurier Lubelski”. Opracowała Maria Dobrosiewicz



POWIEŚĆ CZYTELNIKÓW

(2) — Tak, Elu, byłaś moją pierwszą dziewczyną, pierwszą... Poglaskata mu rękę. Za oknem szalała wtchura. Drobne płatki, na które nie zwrócił przedtem uwagi, zmieniły się w śnieżną, białą ścianę. — Jak dostaniemy się na dworzec? Przecież to latna żalania. Cztery kilometry drogi... Dziękuję pięknie. — Zygmunta nie ukrywał niepokoju. Kiedy o dziesiątej zamykano lokal, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Wyszli na dwór, ale przedtem przez chwilę musieli mocować się z drzwiami. Na postoju takówek nie było żywego ducha. Tego należało się spodziewać. — Co zrobimy? Zygmunta, co teraz będzie? — Może przenocujemy. Masz jeszcze kilka złotych? — Mam, mam, nie martw się.

— ramiętasz, przecznoziłszy przedtem kolo willi z tabliczką: pokoje do wynajęcia. Trafimy tam teraz? — Oczywiście, to niedaleko stąd. Zygmunta odnalazł przycisk dzwonka. W oknie na piętrze zabłysło światło, po chwili drzwi uchylły się. — Kogo to diabeł nosi w środku nocy? — Przypuszczamy panią, chcieliśmy przenocować. — Dużo was? Pan i ta pani? — Tak. — A ta pani to kto dla pana? — To nie jest istotne. Widzi pani, co się dzieje na dworze? Drzwi otworzyły się szerzej. Weszli do mrocznego przedpokoju. — Prosto i po schodach na górę. Zaraz przyniosę posiłek. A sto złotych za nocleg proszę zapłacić teraz, z góry. Schody skrzyptały przejmująco. — Tu jest tak dziwnie... — Elżbieta przytuliła się do Zygmunta. — Trochę się boję. — Cicho, głupstaku. — Zygmunta pogładził ją po włosach. Korytarz na piętrze zawalony był rupieciami. Rogi leśnych zwierząt, wypchane ptaki ozdabiały ściany. — Straszne — szeptała. — W dzień to musi wyglądać ładniej, zwyczajnie. Może nawet ma swój urok. — Ten pokój na prawo dla państwa. — Właścicielka willi pojawiła się niespodziewanie, niosąc posiłek. — Niestety, instalacja się zepsuła, w pokoju brak światła. Tu są dwie łóżeczka, proszę jednak uważać z ogniem. Gdzie pieniądze? — Już pani płacę, proszę bardzo — Elżbieta sięgnęła do torebki. Zostali sami. — Boję się, coraz bardziej się boję. Zygmunta. — Widziałeś jej twarz? Widziałeś jej oczy? To były oczy zwierzęce. — Przesadzasz. Może ci ten dzisiejszy kontakt uderzył do głowy. Weszli do pokoju. W migocącym świetle świecy dostrzegł ogromne, stojące na środku pokoju, łóżko. — Antyk. Prawdziwy antyk! — Ucieszył się Zygmunta. — Nigdy jeszcze na takim łóżku nie spałem. Zrzucił kożuch, pomógł zdjąć palto Elżbiecie i w ubraniu rozciągnął się na łóżku.

— Twarde. Cholernie twarde! — Ugrzył się w język. („Znowu się wyrażasz. O co cię prositam?”), ale Elżbieta nie zwróciła uwagi na brzydkie słowo. — Stuchaj — powiedziała szeptem — w tym pokoju jest tylko jedno łóżko, nie ma więcej. To niesamowite... Leżał mocno przytuleni do siebie. Zygmunta wtulił głowę w jej włosy. — Elu, to jest nasza trzecia noc. Trzecia noc, cała noc, w której jesteśmy razem. Kocham noc, kiedy możemy być razem. Dlatego tych nocy tak mało... Przywarła do niego całym ciałem. — Uważaj, Zygmuś, uważaj. Dzisiaj jest dzień niebezpieczny. — Dobrze, jedyna, dobrze. Zebys wiedziała, jak mi trudno uważać... Ale dzisiaj jest noc nie dzień. Niebezpieczna noc... Nie się już teraz nie liczyło. Czas stanął w miejscu. — Jestem zmęczona szczęściem... Zygmuś, uważałeś? Nie wiem, co by było, gdyby... — Nie dokończyła zdania. — Tam, popatrz, popatrz na to okno. — Okno. Normalne okno. — Nie. W tym oknie są kraty. Jesteśmy w więzieniu. Zamknięto nas — rozplakała się spazmatycznie. — Moja mała, masz mnie przy sobie. Zawsze będę z tobą... (cda)

Z nadesłanych propozycji wybraliśmy dwie (honorarium dzielimy): Krzysztofa Kaczorowskiego z Lublina i Anny Domejkowskiej z Elbląga, łącząc je (zastrzegamy sobie prawo) w jedną całość. Co dalej z losami Elżbiety i Zygmunta? Przypominamy, że dalszy ciąg może pisać każdy czytelnik „Kamery”. Na trzeci odcinek powieści czekamy do 12 marca. (Nasz adres: patrz stopka redakcyjna na stronie 15.)

I jeszcze jedna ważna uwaga: zakończenie każdego odcinka powinno być takie, aby zaintrygowany czytelnik z niecierpliwością czekał na ciąg dalszy!